



Grace Green



*Przyjaciel z
dawnych lat*

Tytuł oryginału: *Twins Induced!*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Co? Jesteś w ciąży?

Liz Rossiter poczuła ucisk w gardle, kiedy ujrzała, jak twarz siedzącego naprzeciw niej mężczyzny z wolna czerwienieje.

– Tak, kochanie.

– Na litość boską, Liz! Przecież wiesz, że nie chcę mieć więcej dzieci! – Colin Airdrie gniewnie uderzył pięścią w elegancki stół z drewna tekowego.

– Już przez to przechodziłem. Jak mogłaś do tego dopuścić? Chcesz mnie usidlić, czy co?!

Bolesne wspomnienie ze starannie pogrzebanej, odległej przeszłości nagle ugodziło Liz z dawną siłą. Na jej czoło wystąpiły kropelki zimnego potu, mimo żaru lejącego się z nieba na tarasie nowojorskiego apartamentu.

Nie, to nie mogło dziać się naprawdę.

– Colin – szepnęła błagalnie. – To przypadek. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Ja... ja pragnę tego dziecka.

Colin gwałtownie wstał. Jego usta wykrzywił nieprzyjemny grymas.

– Liz, mam czterdzieści pięć lat i byłą żonę na utrzymaniu. Łożę na edukację trojga dzieci. Amy jest już na uniwersytecie, a w przyszłym roku bliźniaki zaczynają studia. Nie ma mowy, żebym teraz mógł założyć nową rodzinę!

– Ale... Przecież się kochamy?

– Tak. I byliśmy we wspaniałym związku przez ponad pięć lat. Ale przypominasz sobie – ciągnął bezlitośnie – że zanim zamieszkaliśmy razem, zawarliśmy umowę, że nie ma mowy o dzieciach. Tylko nas dwoje. Ja nie zmieniłem zdania. Nie chcę tego dziecka – powiedział tonem ucinającym dalszą dyskusję.

Liz patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Zdawało się jej, że stoi przed nią obcy człowiek.

– Chyba nie sugerujesz, że powinnam...

Nie była nawet w stanie dokończyć tego zdania, lecz jedno spojrzenie na Colina wystarczyło. To, co dla niej było nie do pomyślenia, dla niego było jedynym słusznym rozwiązaniem.

– Wybór należy do ciebie. – Utkwił w niej zimny wzrok. – Dziecko albo ja.

Matthew Garvock otworzył parasol. Właśnie wyszedł ze swojej kancelarii prawniczej przy Main Street, w Tradition – małym miasteczku w kanadyjskiej Kolumbii Brytyjskiej.

Od rana lał deszcz i nie zanosiło się na przejaśnienie. Matt miał za sobą ciężki tydzień. Rzadko pracował do późna w piątkowe wieczory, ponieważ jednak firma odnosiła coraz więcej sukcesów, musiał ostatnio zostawać dłużej w biurze. Potrzebował tych ciężko zarobionych pieniędzy. Właśnie kupił dom, który pochłonał wszystkie jego oszczędności.

Żwawym krokiem ruszył zalaną deszczem ulicą w stronę jasno oświetlonej restauracji „Pizza Palace”. Wtem mijający go samochód wjechał z rozpędem w kałużę. Matt odskoczył, lecz za późno, błotnista woda oblała całe spodnie, które nieprzyjemnie przykleiły mu się do nóg. Matt rzucił wściekle spojrzenie na błękitne porsche, lecz samochód już zniknął za rogiem.

To z pewnością nie był żaden mieszkaniec Tradition, pomyślał rozgniewany i ruszył dalej. Większość kierowców z miasteczka i okolic jeździła samochodami terenowymi. Porsche to samochód zbyt luksusowy, wielkomiejski. A to konkretne porsche prowadził ktoś o bardzo wielkomiejskich manierach!

Matt prychnął z pogardą. Otrzeptał parasol i wszedł do restauracji.

Nie był tu stałym bywalcem. Jego matka i Molly niestrudzenie dbały o jego dietę, zaopatrując lodówkę i zamrażarkę w steki i gulasze lub zapraszając do siebie na obiadki. Jednak dzisiejszego wieczoru Molly wybrała się z dziećmi do kina, a mama wyjechała na weekend do Vancouver. Musiał więc radzić sobie sam, co zresztą zupełnie go nie martwiło. Wręcz przeciwnie, cieszył się na ten samotny wieczór. Postanowił czym prędzej wrócić do domu, wziąć gorący prysznic i pojadając pizzę, zasiąść przed telewizorem.

– Hurra! Wciąż tu jest!

Tym radosnym okrzykiem przywitała Liz stary, niemal zardzewiały klucz do Laurel House, swojego domu rodzinnego. Jak zwykle był starannie ukryty pod stosem spinaczy do bielizny w koszyku, w komórce na narzędzia na tyłach domu.

Drżąc z zimna, podniecenia i wyczerpania, wsunęła klucz w zamek i wstrzymała oddech. Już po chwili klucz obrócił się z chrzęstem i drzwi stanęły otworem. Liz oparła się o framugę i odetchnęła z ulgą. Po krótkiej chwili zebrała siły i weszła do środka. Musi wziąć się w garść, nim stanie twarzą w twarz ze starym ojcem.

Dzwoniła do niego dziesięć dni temu, jeszcze z Nowego Jorku, lecz nie odbierał telefonu. Za każdym razem słyszała tylko jego chrapliwy głos: „Tu dom Maxa Rossitera. Nie mogę podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość”.

Nie nagrała się. Zależało jej jedynie na tym, by upewnić się, że ojciec jeszcze tu mieszka.

Najwyraźniej tak było. Choć dom wydawał się dziwnie pusty.

Stała przez pięć minut pod drzwiami i uparcie dzwoniła – na próżno. W końcu zdecydowała się sama wejść do domu i wzięła zapasowy klucz z komórki.

Wiedziała już, że nie ma odwrotu.

W czasie długiej podróży przez kontynent miała aż za wiele czasu na przemyślenia. Podjęła kilka decyzji. Między innymi postanowiła stawić czoło ojcu. Już nie pozwoli się zastraszyć, jak miało to miejsce dawniej, gdy była nastolatką. Laurel House był jego domem, lecz zgodnie z prawem, należał również do niej. I jeśli ojciec będzie chciał ją stąd wyrzucić, wytoczy mu proces.

Weszła do środka. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie zmieniło. Jednak po chwili zauważyła, że wnętrze wygląda teraz inaczej. W kuchni zobaczyła najnowszą zmywarkę do naczyń, nową lodówkę, kuchenkę mikrofalową. Wróciła do holu. Drzwi do wszystkich pokoi były otwarte na oścież.

Ziewając szeroko, Liz zaczęła wchodzić po schodach.

– Tato?! – zawołała, stając na podeście.

Odpowiedziało jej echo. Dyskretnie zajrzała do pokoju ojca. W środku nikogo nie było, lecz nic się tu nie zmieniło. Nawet biało-błękitna kołdra jak dawniej leżała na łóżku. Przeszła do niegdyś własnego pokoju. I tutaj nic nie zostało zmienione. Zrzuciła płaszcz przeciwdeszczowy i opadła na łóżko. Musi chwilę się zdrzemnąć. Tylko chwilę. Na pewno usłyszy, kiedy ojciec wróci do domu.

Z głębokiego snu wyrwał ją odgłos kroków, ktoś zbiegał po schodach. Z wysiłkiem usiadła na łóżku. Przeczesała włosy palcami. Ojciec jest w domu. Musi zejść na dół, stanąć z nim twarzą w twarz. Jakże się tego bała! Z trudem wstała i na trzęsących się nogach podeszła do drzwi i przystanęła. Nagle zaczęła ja opuszczać odwaga.

Te wybuchy wściekłości, te wrzaski zawsze ją paraliżowały.

Powoli, noga za nogą, zaczęła schodzić po schodach.

Matt właśnie pociągnął duży łyk zimnego piwa, kiedy za plecami usłyszał jakiś hałas.

Obejrzał się gwałtownie. Jakież było jego zdumienie, kiedy ujrzał przed sobą kobietę, która – niczym zjawa – stanęła na progu kuchni!

Miała piękną, choć bladą twarz i długie, płowe włosy. Jasne ubranie luźno spływało po jej szczupłym, wręcz chudym ciele.

Czyżby śnił? Chwilę gapił się na nieznajomą, potrząsnął głową, zamknął oczy i znów je otworzył. Jednak zjawa ani myślała zniknąć! Mało tego, sama wpatrywała się w niego okrągłymi ze zdumienia, błękitnymi oczami. Tak jakby to on był duchem!

– Zaraz... jak to... – zająknął się Matt. – Może mi pani wytłumaczy. Czy jest pani Białą Damą z Laurel House? – dokończył z wrodzonym poczuciem humoru.

– Co... co pan tu robi? – Liz ledwo słyszalnie odpowiedziała pytaniem. Chyba jednak musiała istnieć naprawdę? Chyba że duchy się perfumują... Odstawił piwo i opierając dłonie na biodrach, postąpił krok w jej stronę.

– Co ja tu robię? To mój dom – odparł z lekka rozbawionym tonem. Jeszcze szerzej otworzyła oczy.

– Od jak dawna?

Czyżby zbladła jeszcze bardziej?

– Odkąd go kupiłem.

– Kupił pan Laurel House? Co... co się stało z poprzednim właścicielem?

– Z poprzednim właścicielem? – Matt wzruszył ramionami. – Max Rossiter długo chorował i zmarł kilka miesięcy temu.

Kobieta wydała z siebie dziwny dźwięk – ni to jęk, ni to pisk. Jej reakcja zaciekała go jeszcze bardziej. Zaczął opowiadać, że po wylewie pan Rossiter

wystawił dom na sprzedaż, bo nie był w stanie dłużej go utrzymać. Bliskość miasta i piękne położenie skusiły Matta i teraz dom był jego własnością.

Zauważył, że kobieta pociąga gwałtownie za delikatny łańcuszek na szyi, jakby ją dusił. Nagle zachwiała się. Matt doskoczył, w ostatniej chwili złapał ją w pasie i podtrzymał.

– Musi pani usiąść. Wygląda pani na kompletnie wyczerpaną. – Próbował nieznajomą posadzić, jednak ona, zebrawszy wszystkie siły, wyrwała mu się.

– Proszę mnie nie dotykać! – zawołała z wyraźną wrogością. Jej twarz gwałtownie poczerwieniała.

Matt, zaskoczony jej reakcją, podniósł ręce w pojednawczym geście i ze śmiechem odparł:

– Ja pani nie dotykam, chciałem tylko pomóc.

– Nikt cię nie prosi o pomoc, Garvock!

Nie wierzył własnym uszom. Skąd znała jego nazwisko? Przyjrzał się jej baczniej, zafascynowany. To niemożliwe, żeby to była...

– Boże... Beth! – Poczul ucisk w gardle. – Beth, to ty? Wróciłaś? Po tylu latach!

Liz zdołała już trochę dojść do siebie. Patrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

– Tak, to ja, Matt. Wróciłam. Na stałe.

– Witaj, Beth. – Z trudem odzyskał głos. – Możesz tu zostać tak długo, jak tylko zechcesz.

Zaśmiała się chrapliwie.

– Tak właśnie zamierzam zrobić. Widzisz, ten dom należy do mnie. Nawet jeśli ojciec jakimś cudem zwiódł ciebie i twoich prawników.

Prawie jej nie słuchał. Nie mógł uwierzyć, że oto stoi przed nim Beth Rossiter. Jak mógł jej nie poznać? Nie widział jej trzynaście lat, a wciąż nie

potrafił zapomnieć. I wciąż tak samo silnie targało nim poczucie winy, ten sam dojmujący żal.

– więc jutro – usłyszał nagle – zobaczę się z prawnikiem ojca, Juddem Anstrutherem, i wszystko się wyjaśni.

Z trudem skupił się na tym, co do niego mówiła.

– Judd przeszedł na emeryturę.

– Kto przejął jego praktykę?

– Ja. – Nerwowo przeczesał włosy. – Cokolwiek zrobisz, ja będę w to zamieszany. To nie jest groźba, Beth. Musimy porozmawiać o tym, co stało się trzynaście lat temu.

– Nie, nie będziemy o tym rozmawiać – ucięła. – Nie masz mi nic do powiedzenia, Matt. Za to ja mam. Po pierwsze, nie mów do mnie Beth. Już nie jestem tą naiwną nastolatką sprzed kilkunastu lat. Mam na imię Liz. Jeśli już musisz się do mnie jakoś zwracać, to mów do mnie Liz albo... panno Rossiter.

Zanim poszedł wziąć prysznic, wsunął do piecyka pizzę. Teraz poczuł dobiegający z głębi kuchni śwąd. Kolację diabli wzięli.

– Coś jeszcze? – W jego beznamiętnym głosie słychać było rezygnację.

– Tak. Nigdy, ale to nigdy nie próbuj rozmawiać ze mną o przeszłości. – Jej pełne usta zacisnęły się z determinacją.

O, nie. Tego nie zamierzał jej obiecać.

– Ale ja chcę tylko...

– Co chcesz? Może przeprosić? – Zaśmiała się kpiąco.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że potem próbowałem...

– Potem? – przerwała mu bezlitośnie. – Matt, nie interesuje mnie, co było „potem”.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”! – niemal krzyknęła. – Czy możesz powiedzieć cokolwiek, co zmieni przeszłość? Czy można cofnąć to, co się stało?

Patrzył na nią bezradnie. Złamała mu serce, tak nagle znikając z jego życia. Wiedział, że i on złamał jej serce. Lecz on zasłużył na cierpienie, a ona nie.

– Nie – odparł z wysiłkiem. – Nie można.

– Więc, proszę cię, nie mówmy o tym więcej – ucięła stanowczo. – Ja zostawiłam przeszłość za sobą i tobie radzę zrobić to samo.

Odwróciła się na pięcie i skierowała ku drzwiom. Uprzedził ją jednak i stanął przed nią, blokując przejście.

– Dokąd idziesz?

– Do łóżka.

– Beth... Liz, ja nie ruszę się z tego domu. Jest mój. Mam odpowiednie dokumenty. – Ledwo to powiedział, poczuł się podle. Z bliska Liz wyglądała jeszcze bardziej krucho i bezbronne. – Więc, co zrobimy? – spytał szorstko, by ukryć wyrzuty sumienia. – Chyba utknęliśmy w martwym punkcie?

Patrzyła na niego wzrokiem zimnym jak stal.

– Jesteś ode mnie większy. – W jej błękitnych oczach dojrzał błyski cynicznego humoru. – No i pamiętam, że kiedyś byłeś bokserem. Więc nie wyrzucę cię stąd własnymi rękoma. Ale na twoim miejscu od jutra szukałabym mieszkania. Ja odzyskam ten dom.

– Czy zatem wypowiedasz mi wojnę? – spytał niemal szeptem.

– O, tak. Bardzo dobrze to ująłeś – odparła Liz cicho, lecz z mocą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Liz źle spała tej nocy. Niełatwo jej było kochać ojca, jednak wylała wiele łez, zanim zasnęła. Śniło jej się, że ojciec wpadł w szal, co niegdyś często mu się zdarzało. Kiedy obudziła się rano, nad poczuciem winy górowała jednak ulga, że to tylko sen i że już nigdy nie będzie musiała przez to przechodzić.

Kiedy później stała pod strugami gorącej wody, jej myśli bezwiednie zwróciły się ku innemu bolesnemu tematowi, ku Mattowi.

Cóż za szok przeżyła wczoraj na jego widok! Oczywiście z początku go nie poznała, nie spodziewała się go tutaj zobaczyć, no i ktoś nieźle pokancerował mu twarz podczas tych trzynastu lat. Matt, którego znała, był atrakcyjnym chłopcem, o gładkiej, delikatnej buzi. Koledzy nadali mu wręcz przydomek „Ślicznotka”, co Matt przyjmował z właściwym sobie humorem. Nikt nie domyśliłby się, że jego pasją jest boks. Przyznał się kiedyś Liz, że matka pozwoliła mu amatorsko uprawiać ten sport pod jednym warunkiem – że nigdy nie wróci do domu ze zniekształconą twarzą. Dbał więc o nią jak o największy skarb.

Jednak teraz z pewnością nikt nie nazwałby Matta „Ślicznotką”. Jego kruczoczarna czupryna o miedzianych przeblaskach pozostała ta sama, jak również lśniące, zielone oczy w czarnej oprawie rzęs. Lecz nos najwyraźniej nosił ślady poważnego złamania; jeden policzek był nieco spłaszczony, a dolną wargę przecinała blizna.

Wyglądał poważniej, wydawał się taki twardy, szorstki. I jak dawniej na jego widok serce gwałtownie podskakiwało jej w piersi.

Ale o tym Matt z pewnością nigdy się nie dowie. Jak i o tym, że kłamała, mówiąc mu, iż ona nigdy nie myśli o przeszłości. Szczególnie teraz, gdy znów

była w ciąży, przeszłość ciągle stawiała jej przed oczyma. Wspominała ich wzajemną miłość, gwałtowną namiętność i poczęte wówczas dziecko.

Sięgnęła po ręcznik i przyjrzała się sobie w lekko zaparowanym lustrze. Nic dziwnego, że jej nie poznał. Ona sama ledwo potrafiła siebie rozpoznać w tej zmęczonej, bezbarwnej kobiecie. Dziewczyna, którą znał Matt, była pełną życia nastolatką, o jasnych lokach, promiennych, zielonych oczach i różowych, okrągłych policzkach.

Westchnęła i zaczęła suszyć włosy. Oboje zmienili się nie do poznania. Nic ich już nie łączy. I choć Tradition to małe miasteczko, jest na tyle duże, by mogli oboje tu zamieszkać, nie wchodząc sobie bezustannie w drogę. Bo ona nie ma zamiaru się stąd wyprowadzać! Gdy tylko Matt opuści Laurel House, ona się tu rozgości na dobre. Wraz z dzieckiem, które wkrótce przyjdzie na świat.

– Nieostrożny z pani kierowca, Panno Rossiter!

Matt nieoczekiwanie pojawił się w kuchni. Jego głos tak zaskoczył Liz, że aż podskoczyła na krześle i omal nie rozlała kawy. Odstawiła kubek, siląc się na spokój. Nie przyzwyczaiała się jeszcze do tego nowego, szorstkiego, męskiego Matta. Zanim zamknął drzwi na taras, do kuchni wtargnął orzeźwiający podmuch wiatru i Liz zadrżała. A może to drżenie spowodował widok jego postawnej sylwetki w krótkich spodenkach i bluzie?

– Ja? Nieostrożny kierowca? – spytała pozornie lekkim tonem, uśmiechając się przyjaźnie.

Spojrzał na nią bacznie, jakby nie rozumiał, skąd ta nagła życzliwość. Liz pogratulowała sobie w duchu i poczuła się trochę różnie. Dobrze być panią sytuacji.

Matt skrzywił się.

– To porsche za domem należy do ciebie, prawda? A kiedy skinęła potakująco głową, stwierdził sucho:

– A więc jesteś mi winna za pralnię.

– Za co?

– Pamiętasz? Wczoraj na Main Street ochlapałaś mnie od stóp do głów błotem. Mój garnitur...

– Ach, więc to byłeś ty?

– Więc zauważyłaś to i nawet się nie zatrzymałaś, żeby mnie przeprosić?!

– zawołał z nieukrywaniem oburzeniem. Był zły jak diabli.

– Gdybym wiedziała, że ochlapałam prawnika... – Liz zachichotała, ale na widok gniewu malującego się na jego twarzy, dodała szybko: – Matt, naprawdę mi przykro. Kot wyskoczył na ulicę i musiałam gwałtownie skręcić. Oczywiście, gdybym wiedziała, że zniszczę twój garnitur od Armaniego, wolałabym przejechać kota.

Surowym wzrokiem patrzył przez chwilę na jej śmiertelnie poważną minę. Wreszcie oboje nie wytrzymali i wybuchli śmiechem.

– Nie od żadnego Armaniego, tylko od Searsa. – Obdarzył ją zmysłowym uśmiechem, od którego zrobiło jej się gorąco. – Moi klienci to rolnicy, często ze słomą w butach. Wolę ich nie onieśmielać i najchętniej chodzę do biura w dzinsach. Jak się spało? – Zmienił temat.

– Dobrze – skłamała. – Ponad tydzień byłam w drodze. Po prostu padałam z nóg... No i nie ma to jak własne łóżko.

Matt sięgnął po duży kolorowy ręcznik wiszący na drzwiach kuchennych.

– Tak uważasz? – spytał lekko ironicznym tonem.

Poczuła, że się czerwieni. Że też musiała z Mattem rozmawiać akurat o łóżku.

– Każdy ma gdzieś swoje łóżko – powiedział, wycierając wilgotne włosy i kark.

Zerknął na dzbanek z kawą.

– Mogę się napić? – I nie czekając na odpowiedź, nalał sobie pełen kubek, po czym usiadł przy stole. – A więc byłaś tydzień w drodze. Skąd jechałaś?

– Z Nowego Jorku.

– Ach tak? Może opowiesz mi pokrótce, co robiłaś przez te trzynaście lat? Porsche to niezły samochód. Musiałaś mieć albo dobrą pracę, albo bogatego męża.

– Nie trafiłeś. Nie mam ani pracy, ani męża. Zamilkli. Nagle poczuli się skrzepowani. Tylko pomruk

lodówki wypełniał ciszę.

– Jesteś sama? – odezwał się w końcu Matt.

– Tak – odparła krótko i zawahała się. I tak wszyscy w Tradition będą wkrótce wiedzieć o jej ciąży, na razie jednak postanowiła to przemilczeć. – Chciałabym odwiedzić grób ojca. Czy jest pochowany na Fairlawn? – spytała po chwili.

– Nie, dziesięć lat temu założono nowy cmentarz w Greenvale, na obrzeżach miasta. Trzeba jechać prosto i za Miller's Farm i skrócić w drugą, nie, trzecią przecznicę w lewo... Wiesz co? Zawiozę cię.

– Nie, Matt, dziękuję. Poradzę sobie. Kupię mapę.

– Kiedyś nie byłaś taka niezależna – odparł bez zastanowienia.

Dopiero gdy zobaczył, że Liz spochmurniała, zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Życie nie głaskało jej po głowie i szybko musiała nauczyć się samodzielności. Kiedyś rozpaczliwie potrzebowała wsparcia, a ci, którzy powinni byli przyjść jej z pomocą, zawiedli.

Odsunęła krzesło i wstała.

– Tak, jestem niezależna, Matt – powiedziała cicho. – Nauczyłam się, że w życiu człowiek może liczyć tylko na siebie.

Matt też wstał. Bezwiednie zacisnął pięści.

– Mylisz się, Beth – powiedział z naciskiem. – Jeśli czegokolwiek będziesz potrzebowała, powiedz mi tylko słowo.

Patrzyła mu prosto w oczy, długo i uważnie. Wreszcie odparła z lekkim uśmiechem:

– Tak, myślę, że jedną rzecz z pewnością możesz dla mnie zrobić.

– Co? – spytał z nadzieją w głosie.

– Nie mów do mnie Beth.

Odwróciła się na pięcie i stanowczym krokiem wyszła z kuchni.

– Świetnie ci poszło, Stuart!

– Dzięki, wujku!

– Moja mała gwiazda! – Molly Martin czule przytuliła synka.

– Gdzie Ian? – Stuart zerwał z głowy czapkę baseballową i rozejrzał się w poszukiwaniu młodszego brata.

– Pobiegnij zająć nam stolik w parku. – Matt podał zadyszanemu chłopcu lemoniadę. – Jesteś głodny? – A kiedy Stuart zwawo przytaknął, Matt stwierdził: – Więc pora na lunch.

Zeszli z boiska i skierowali się w stronę parku. Matt i Molly wzięli się pod rękę, a Stuart pobiegł przodem.

~ Szkoda, że nie poszedłeś wczoraj z nami do kina. Podobałby ci się ten film – mówiła Molly.

– Musiałem zostać w biurze.

– Mam nadzieję, że zjadłeś obiad?

– Kupiłem pizzę na wynos – odparł Matt wymijająco. Nie powiedział tylko, że nie zjadł ani okruszka. Po rozmowie, a raczej kłótni z Beth... z Liz Rossiter, całkiem zapomniał o potrzebach żołądka.

Zasepił się. Wiedział, że będzie musiał powiedzieć Molly o zaistniałej sytuacji, lecz jakoś nie mógł się zdecydować. Nie bardzo potrafił powiedzieć, dlaczego trudno mu wyznać, że oto córka Maxa Rossitera wróciła do Laurel House i zamierza walczyć o odzyskanie domu.

– Mamo! Tutaj! – rozległ się głos Iana. – Umieram z głodu!

Matt postawił przenośną lodówkę na drewnianym stole. Chłopcy z zapalem zabrali się do rozpakowywania smakołyków.

Matt usiadł obok Molly. Z przyjemnością patrzył na zjadających chłopców. Od śmierci ich ojca starał się spędzać z nimi jak najwięcej czasu. Molly nie wiedziała o tym, że Dave przed śmiercią poprosił Matta, by zaopiekował się jego rodziną. Ta obietnica, dana najlepszemu przyjacielowi kilka lat temu, była odtąd dla Matta święta.

– Jesteś dzisiaj jakiś nieswój. Czy coś się stało? – zaniepokoiła się Molly.

– Nie, nie, wszystko w porządku – uspokoił ją Matt i spróbował aktywniej uczestniczyć w ożywionej rozmowie z dziećmi.

Kiedy skończyli, Matt z chłopcami poszli na huśtawki, a Molly do toalety. Po chwili dołączyła do nich, a Matt zauważył, że spódniczka ciasno opina jej kobiece biodra. Molly nareszcie odżyła po śmierci Dave'a.

– Przytyłaś – zauważył z uśmiechem.

– Jeśli nie przestanę się objadać, znów będę „milutko okrągłutka” – zachichotała Molly, używając pieszczotliwego określenia męża.

– Dave by się ucieszył.

– Wiesz, Matt, gdyby ktoś wtedy mi powiedział, że jeszcze kiedyś będę się śmiać, nie uwierzyłabym.

– Tak, to chyba prawda, że czas leczy rany. Molly położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nie wiem, jak dałabym sobie radę bez ciebie.

– I ja bez ciebie, Molly. Ja też tęskniłem za Dave'em.

Przytuliła się do niego, a on poczuł ten tak dobrze znany fiołkowy zapach jej perfum. W ich uścisku nie było nic erotycznego. Po prostu byli sobie bliscy.

Kiedy wsiadali do samochodu, Matt uświadomił sobie nagle, że już od jakiegoś czasu ktoś go obserwuje. Odwrócił głowę i w oddali zauważył ruszający samochód. Błękitne porsche. Zobaczył Liz. Patrzyła na niego jakby nieco smutnym, a może tylko zaskoczonym wzrokiem. Ich oczy na ułamek sekundy spotkały się, po czym Liz gwałtownie nacisnęła pedał gazu i znikła za zakrętem.

Liz przeżywała piekielne męki. Jakżeż żałowała, że zatrzymała się przy tym parku! Właśnie przejeżdżała obok w drodze powrotnej z cmentarza w Greenvale, kiedy nagle zauważyła Matta. Był sam, pomyślała więc, że do niego dołączy. Po chwili jednak Matt zaczął gawędzić z małymi chłopcami przy huśtawkach, a po kilku minutach podbiegła do nich kobieta. Kiedy zobaczyła, jak Matt ją przytula, oczywiste stało się, że są parą. Liz odniosła wcześniej wrażenie, że Matt jest samotny. Być może mieszkał sam, ale najwyraźniej był związany z tą kobietą. Poczowała bolesny ucisk w sercu. Oczywiście nic nie łączy jej już z Mattem Garvockiem. Dlaczego więc zrobiło jej się tak przeraźliwie smutno i przykro? Nie była w stanie oderwać od nich wzroku.

Matt zauważył ją, widziała zdziwienie w jego oczach. Miała tylko nadzieję, że nie wyczytał z jej wzroku wszystkich targających nią uczuć.

A więc wspólne życie w Laurel House będzie nie do zniesienia, gdyż ta obca kobieta z pewnością często odwiedza Matta.

Liz nagle zdała sobie sprawę, że po tych wszystkich latach Matt Garvock wciąż jeszcze miał nad nią władzę. Był w stanie zadać jej ból, potrafił ją skrzywdzić.

Matt wrócił do domu dopiero po dziewiątej.

Liz spędziła pół dnia u siebie w pokoju, robiąc porządki w starych zeszytach szkolnych i listach. Wyrzuciła wszystko, z wyjątkiem kilku pamiątek. To zajęcie uspokajało ją, wprowadzało jakiś porządek i ład, którego teraz tak potrzebowała, odrywało myśli od Colina... Od Matta. Aż do chwili, kiedy na dnie dolnej szuflady znalazła kartkę. Spojrzała na wyblakłe litery:

Beth Garvock

Pani Garvock

Państwo Garvock

Napisała te słowa tego samego dnia, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży z Mattem. Zaląła ją fala bolesnych wspomnień. Z oczu trysnęły łzy.

Była taka naiwna, taka pewna, że Matt się z nią ożeni... A tymczasem ją zawiódł.

Mimo to pragnęła dziecka, chciała być matką.

Tak jak teraz. Mające przyjść na świat maleństwo było jej jedyną radością, gotowa była zrobić dla niego wszystko. Choć pewnie nie będzie łatwo samej go wychowywać.

Delikatne pukanie do drzwi poderwało ją na równe nogi. Zmięła kartkę i cisnęła do kosza.

– Liz? Mogę wejść?

Nie odzywała się. Stała nieruchomo, jak sparaliżowana. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

– Liz? – zmęczony głos Matta zabrzmiał teraz ostro. – Nawet jeśli się nie odezwiesz, wchodzę. Muszę z tobą porozmawiać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Matt cicho otworzył drzwi. Liz patrzyła na niego, opierając się o biurko. Wyglądała tak, jakby zaraz miała upaść.

– Nie możesz wchodzić tutaj tak po prostu, kiedy tylko zechcesz. Chyba mam prawo do odrobiny prywatności? – spytała z pozornym spokojem.

– Liz... – Matt zrobił krok w jej stronę, lecz cofnął się pod wpływem wrogiego spojrzenia. – Nie jestem twoim wrogiem. Nie myśl o mnie w...

– Matt, ja w ogóle o tobie nie myślę – przerwała.

Westchnął. Ta rozmowa nie miała sensu.

– Chciałem tylko zapytać, czy znalazłaś cmentarz.

– Tak.

– I grób ojca?

– Tak...

– Wiem, że wasze stosunki nie były najlepsze... Ale pewnie i tak miałaś dziś ciężki dzień.

Ku jego zdumieniu, Liz omal się nie rozplakała.

– Było mi ciężko, ale z innego powodu, niż myślisz. Dozorca cmentarza powiedział mi, że ojciec ostatnie miesiące życia spędził w przytułku dla starców!

– Blackwells to nie jest przytułek, Liz. Nie przesadzaj.

– Ach, więc urządzono tam luksusowy hotel?

– Nie.

– W takim razie, nie rozumiem. Jak to możliwe, że mój ojciec trafił do takiego miejsca? Przecież miał pieniądze?

– Większość majątku zainwestował w akcje. Wszystko niestety stracił. Właśnie kiedy się o tym dowiedział, dostał wylewu.

Liz z trudem przełknęła ślinę. Po chwili spytała:

– Jak sobie poradził?

Matt wiedział, ile ją ta rozmowa musi kosztować, nie mógł jednak w żaden sposób jej tego ułatwić. Musiała wszystkiego się dowiedzieć i lepiej będzie, jeśli to właśnie on jej o tym powie.

– Konieczna była całodobowa opieka.

– Skąd wziął na nią pieniądze?

– Wspomniałem ci, że zaciągnął pożyczkę hipoteczną, zastawił dom. W końcu musiał go sprzedać, żeby spłacić długi. Tak trafił do Blackwells. Potem miał kolejny wylew. Kilka tygodni później zmarł.

– Jaka straszna śmierć. Musiał się okropnie męczyć, bez rodziny, w samotności. Powinam była wrócić do domu kilka lat temu. – Nagle Liz wybuchła niepohamowanym płaczem. Ukryła twarz w dłoniach.

Nie mógł patrzeć na jej cierpienie. Wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

– Wiedziałem, że to będzie dla ciebie trudne. Dlatego chciałem pojechać z tobą na cmentarz – mówił do niej kojącym głosem. – Ale ty nie życzyłaś sobie, żebym ci towarzyszył.

Była taka drobna, taka krucha w jego objęciach. Ból ścisnął mu serce. Kiedyś Liz należała do niego, lecz przez moment wahania i głupoty stracił ją na zawsze. Dziś rano udowodniła, że jest niezależna. Ale czy na pewno zupełnie nikogo nie potrzebuje? Teraz, w jego ramionach, przestała walczyć. Może jednak istnieje cień szansy, że będzie mógł choć w małym stopniu odkupić dawną winę?

– Liz, błagam, pozwól, że ci pomogę.

Nagle wyrwała się z jego objęć i spojrzała wręcz gniewnie.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy! A już na pewno nie twojej! Sama sobie poradzę.

A więc jednak Liz się zmieniła. Nie była już tą dawną nieśmiałą siedemnastolatką, tak łatwo podporządkowującą się cudzej woli. Była odważna, zdeterminowana.

I już nie potrzebowała go do szczęścia. Trudno mu było się z tym pogodzić.

– Powiedz mi tylko jedną rzecz – odezwała się po chwili.

– Tak? – odparł z gotowością.

– Ojciec był zmuszony sprzedać ten dom?

– Tak, nie miał wyjścia.

– A więc skorzystałeś na tym?

– Nie jestem pewien, o co ci chodzi?

Dobrze wiedział. Myślała, że wykorzystał starego, znękanego człowieka, lecz było inaczej. Zupełnie się nie targował, zapłacił absurdalnie wysoką cenę.

– Pytam, czy byłeś zadowolony z zawartej transakcji? – Pogardliwie wzruszyła ramionami.

Och, jakże chciał zmasać ten wstrętny grymas niechęci i pogardy z jej twarzy! Powiedzieć jej otwarcie, dlaczego tak mu zależało na Laurel House. Duma mu jednak na to nie pozwalała.

Zresztą, jakie to ma znaczenie? I tak Beth nigdy nie wybaczy mu tego, jak ją potraktował trzynaście lat temu. Pozwoli jej wyżywać się na sobie do woli.

– Taak... Nie będę ci dłużej przeszkadzał. – Znużonym gestem potarł brodę.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Nazajutrz była piękna, słoneczna niedziela i Liz postanowiła wybrać się na nabożeństwo do kościoła prezbiteriańskiego. Kiedy jednak chciała uruchomić samochód, okazało się, że wczoraj zapomniała zatankować. Nawet

gdyby przyszło jej do głowy, by poprosić Matta o podwiezienie do miasteczka, było to niemożliwe, ponieważ godzinę wcześniej słyszała, że gdzieś wyjeżdżał.

Nie zastanawiając się długo, Liz żwawym krokiem ruszyła w stronę miasta. Dotarła do kościoła niemal na czas i, przez nikogo niezauważona, wśliznęła się na ławkę w tylnej nawie.

– Matt, odbierzesz chłopców ze szkoły niedzielnej? – Molly poprawiała słomkowy kapelusz. Wokoło kłębił się tłum, zmierzający do wyjścia. – Muszę lecieć do domu, dopilnować pieczeni. Weź chłopców i przyjeżdżajcie.

– W porządku. Molly?

– Tak? – spytała niecierpliwie.

– Muszę z tobą porozmawiać. Dzisiaj.

Oczy Molly zabłyśły.

– Chłopcy są dziś zaproszeni do Jamie. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby porozmawiać. – Pieszczotliwie dotknęła jego krawata, po czym pobiegła.

Liz szła pustym bulwarem Fourth Avenue, wsłuchując się w echo swych samotnych kroków. Wyszła z kościoła, zanim przebrzmiał ostatni hymn. Nie była jeszcze gotowa na konfrontację z mieszkańcami Tradition.

Wczorajsza wizyta na cmentarzu wytrąciła ją z równowagi. Nie pomogła też wieczorna rozmowa z Mattem. Kiedy przyciągnął ją do siebie, na chwilę zapomniała o dawnych urazach, pozwoliła sobie na odrobinę słabości. Jednak kiedy tym swoim ciepłym, seksownym głosem zaproponował jej pomoc, nagle wróciła do rzeczywistości. Równie dobrze mógłby ją spoliczkować. Przecież nie może na nim polegać. Nigdy nie wolno jej o tym zapomnieć!

Właśnie skręciła za róg, kiedy nagły pisk opon kazał jej się odwrócić. Biała honda zatrzymała się gwałtownie i siedząca za kierownicą kobieta w kwiecistej sukience, słomkowym kapeluszu i ciemnych okularach, zaczęła do niej radośnie machać.

– Beth? Beth Rossiter? Czy to ty? – Zdumienie kobiety nie miało granic.

Liz patrzyła na nią zakłopotana.

– Niestety...

Kobieta zachichotała. Niecierpliwie zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zdarła z głowy kapelusz.

– Och, Beth, to ja. Poznajesz mnie teraz? – Palcami przeczesła swoją krótką, miedzianą czuprynkę.

Molly White! Liz ogarnęła nieopisana radość. Były przyjaciółkami przez całą podstawówkę i gimnazjum, lecz ojciec Molly, policjant, został przeniesiony do Vancouver. Zabrał ze sobą całą rodzinę i po jakimś czasie dziewczynki straciły kontakt.

– Molly! – Liz ucałowała ciepły policzek przyjaciółki. Owiała ją fala fiołkowego zapachu. – Kiedy wróciłaś do Tradition? Co u ciebie słyszać?

– Oj, to długa historia. Musimy się spotkać i porozmawiać. Teraz powinnam lecieć, bo inaczej spali mi się pieczeń. Dziś szykuję uroczysty obiad dla mojej drużyny...

– Drużyny? – nie zrozumiała Liz.

– Tak... Jestem wdową z dwójką dzieci, ale jest w moim życiu pewien mężczyzna. Z pewnością go nie znasz, był trzy klasy wyżej – plotła Molly, ani na chwilę się nie zatrzymując. – No więc, spotykamy się od jakiegoś czasu i teraz... Mam nadzieję, że... – zawahała się nagle. – Ale, ale, Matt, Matt Garvock, tak się nazywa ten mężczyzna, na pewno nie chciałby, żebym o tym mówiła. Przynajmniej na razie. Nie powiesz nikomu, prawda?

Liz stała jak sparaliżowana.

– Nnie... – udało jej się wykrztusić. – Bądź spokojna, nikomu nie powiem.

A więc to z nią, z Molly widziała Matta.

– Zadzwoń do mnie, Beth – paplała Molly. – Znajdziesz mnie w książce telefonicznej pod moim nazwiskiem po mężu. Molly Martin. Wpadniemy gdzieś na kawę. Wtedy wszystko dokładnie ci opowiem!

Matt zdjął marynarkę i rzucił ją na krzeselko na werandzie. Poluzował krawat i wszedł za chłopcami do domu.

Ian i Stuart pobiegli na górę, a on, kierując się smakowitym zapachem pieczeni, udał się do kuchni. Molly, z wypiekami na twarzy, nalewała właśnie sos do sosjerki. Wyglądała na zaaferowaną.

– Hej ! Nie uwierzysz, kogo dziś spotkałam! – zawołała radośnie na jego widok. – Jechałam właśnie Fourth Avenue, kiedy zobaczyłam koleżankę za szkoły. Nie widziałam jej chyba z szesnaście lat! Trochę się zmieniła, ale rozpoznałam ją po chodzie. No i po nogach. Beth Rossiter zawsze miała boskie nogi. Aleśmy jej tych nóg zazdrościły! Zresztą niedługo ją poznasz.

– Ja ją znam – przerwał jej Matt.

Molly odebrało mowę.

– Co? Jak to? – wykrztusiła wreszcie.

Powinien powiedzieć to Molly wczoraj. Był na siebie wściekły, że tego nie zrobił. Przecież nie brakowało okazji, cały dzień spędzili razem. Najpierw grali w baseball i byli na pikniku, potem pojechali na targi rolnicze do Crestville, osiemdziesiąt kilometrów od Tradition. Dlaczego nie powiedział jej o Liz?

– Matt? Skąd znasz Beth Rossiter? – nalegała Molly.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

Widząc, że Molly chyba nie do końca go rozumie, Matt powtórzył:

– Nie pamiętasz? W kościele prosiłem cię o chwilę rozmowy.

Czy zdawało mu się, że widzi na twarzy Molly cień rozczarowania?

– Liz pojawiła się w Laurel House w piątek wieczorem. Nie wiedziała o śmierci ojca ani o tym, że dom został sprzedany.

– Ojej ! To musiał być dla niej straszny szok. Chociaż... O ile pamiętam, jej stosunki z ojcem nie były najlepsze. On potrafił być bardzo gwałtowny, często wpadał w szał. A więc Beth przyjechała na wakacje? Gdzie się zatrzymała? W „Sandford Inn”?

Matt przełknął ślinę.

– Obawiam się, że wróciła na stałe. Mieszka w Laurel House.

– W Laurel House?

– Tak, dopóki nie wyjaśnimy pewnych spraw.

– Jakich spraw?

– Ona twierdzi, że ma dokumenty, które uniemożliwiały ojcu sprzedaż domu bez jej zgody.

– Ale przecież transakcja odbyła się zgodnie z prawem? Mój Boże, przecież jesteś prawnikiem?

– Oj, tak, z pewnością wszystko było legalne.

– A więc, będzie musiała się wyprowadzić! Prawda?

– To nie takie proste, Molly...

Matt urwał, słysząc, że chłopcy zbiegają po schodach.

– Zostawmy to na razie – powiedział, obejmując Molly. – Wrócimy do tego po obiedzie.

Liz zawsze kochała Laurel House. Nie tylko dlatego, że stary dom miał niepowtarzalny charakter i duszę. Tutaj przeżyła najszcześniejsze chwile dzieciństwa, aż do śmierci ukochanej matki.

Spodiewając się, że Matt prawdopodobnie wróci późno, Liz postanowiła rozejrzeć się po domu, przypomnieć sobie, jak wyglądają stare, ukochane kąty.

Jak dotąd, oprócz nowego wyposażenia kuchni, wszystko zdawało się znajome. A więc Matt kupił od ojca dom z całym wyposażeniem i niewiele dotąd zmienił. Nowy właściciel rozgościł się tylko na piętrze. W sypialni odkryła wielkie dębowe łóże, a na nim pościel w granatowo—kremowe pasy oraz nowe zasłony w oknach.

Przeszła do pokoju obok, niegdyś gościnnego. Zrolowany dywan, zdjęte zasłony, przykryte folią łóżko oraz puszki farby i pędzle w kącie wskazywały na to, że Matt sposobił się do malowania. Zrobiło jej się przykro. Oto obcy człowiek zamierza remontować jej dom! Człowiek, który nie miał doń żadnych praw!

Czując nagły przypływ gniewu, Liz pobiegła do swojego pokoju, zebrała rzeczy do prania i zeszła do piwnicy, gdzie niegdyś mieściła się pralnia. Jak wszędzie, tak i tutaj panował nieskazitelny porządek. Pralka i suszarka lśniły czystością. Na desce do prasowania leżała sterta bielizny. Liz właśnie sięgała po proszek do prania, kiedy jej wzrok przykuł pewien drobiazg. Zamarła. Oto na samym szczycie, wtulony w męskie bokserki, leżał koronkowy stanik!

Molly Martin sypiała w jej domu!

Matt wsparł się o balustradę werandy i spojrzał na Molly, rozpartą w fotelu wiklinowym.

– Nie wspominałaś nigdy, że przyjaźniłaś się w szkole z córką Maxa Rossitera – odezwał się nagle.

– Widocznie nie było okazji. – Molly zmrużyła oczy, patrząc na Matta pod słońce. – Kiedy przenieśliśmy się do Vancouver, przez jakiś czas korespondowałam z Beth. Ale potem kontakt się urwał. Dopiero kiedy cztery lata temu Dave dostał tu pracę i wróciliśmy do Tradition, zaczęłam znowu o mej myśleć. Dowiedziałam się jednak, że po liceum ojciec wysłał ją na jakąś

prestżową uczelnię na Wschodnim Wybrzeżu, skąd Beth nigdy nie wróciła. Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziewa.

Matt wiedział, że sprawy miały się nieco inaczej. Ojciec Liz nie wysłał jej do żadnej szkoły, a nawet jeśli tak było, to nie od razu. Przede wszystkim, dbając o dobrą reputację córki, odesłał ją z miasteczka. Przed oczyma Matta znów stanęła rozwścieczona twarz Maxa Rossitera. Tamta jesienna noc była wyjątkowo chłodna...

– Myślisz, że pozwoliłbym, by moja córka donosiła twojego bachora? – wrzeszczał Rossiter. – Jesteś nikim!!! Nie pozwolę, żebyś zrujnował jej życie!

Matt nigdy nie zapomni tego głosu, tej nienawiści w oczach ojca Liz.

Pod jednym względem Molly miała rację– nikt w miasteczku nie wiedział, dokąd wyjechała córka „bogacza Rossitera”. I tylko cztery osoby znały przyczynę tego nagłego zniknięcia dziewczyny: Liz, Matt, jego matka i Max Rossiter.

– Matt? – Molly pociągnęła go za rękaw. – Nad czym się tak zadumałeś?

Matt z trudem wrócił do rzeczywistości.

– Molly, ja też znałem Liz, znałem ją jako siedemnastolatkę.

– Ale jak to możliwe? Przecież byłeś studentem, studiowałeś wtedy prawo.

– Przyjechałem na wakacje, żeby odbyć praktyki w biurze Judda Ansthrutera. Spotykaliśmy się przez całe lato.

– Umawialiście się na randki?

– Tak.

– Jak to się stało, że nikt nie wspomniał o tym ani słowem?

– Bo nikt nie wiedział. Spotykaliśmy się po kryjomu. To przez jej ojca. Nikt nie był dość dobry dla jego córki.

Zamilkli. Przez długą chwilę słychać było tylko odgłosy zabawy dzieci w ogrodzie z tyłu domu. Wreszcie Molly przerwała ciszę.

– Jeśli pozwolisz Beth zostać w domu, to niedługo będziesz miał ręce pełne roboty.

– Nnie... nie rozumiem.

– Jestem pielęgniarką, Matt. Znam te objawy... Potrafię rozpoznać, kiedy...

Matt drgnął i gwałtownie zbladł.

– Molly? Ona nie... nie jest chora, prawda?

– Chora? Nie, Matt. Beth jest w ciąży.

W ciąży!

Myśl ta nie dawała Mattowi spokoju. A może Molly się myli, zastanawiał się, gdy wyszedł od niej godzinę później. Prawdopodobnie jednak miała rację, była przecież pielęgniarką i powiedziała to z takim przekonaniem. Więc co on teraz powinien zrobić? Zapytać Liz wprost, czy to prawda? A może cierpliwie czekać, aż ona sama go wtajemniczy w swój sekret?

Kiedy wchodził do domu, Liz właśnie zbiegała po schodach. Zatrzymała się na podeście. Matt przyjrzał się jej uważnie, próbując wyczytać z sylwetki i twarzy te znaki, które były tak czytelne dla Molly. Jednak drobna figurka Liz skrywała się pod luźną bluzą narzuconą na krótką spódniczkę. Może ta bladość twarzy, nieco ociężałe powieki mogły być jakąś wskazówką? U licha, jak miał rozpoznać pierwsze objawy ciąży?

Liz odwzajemniła jego badawcze spojrzenie.

– Coś się stało? Czemu się tak na mnie gapisz? – zapytała wyzywająco.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Matt z rozczarowaniem usłyszał znowu nutę wrogości w jej głosie. Spróbował zatrzeć złe wrażenie.

– Ładnie ci w tym kolorze – stwierdził lekkim tonem. – Ciekawy odcień różu.

– Dziękuję... – Zarumieniła się mimo woli. Jej oczy jednak nadal rzucały chłodne błyski.

– Co porabiałaś?

– Rozejrzałam się po domu. – Poprawiła i tak już idealną fryzurę. – Muszę się znowu do wszystkiego przyzwyczaić.

– Wiem, jak to jest – odparł. – Kiedy przyjeżdżałem do domu na wakacje, zawsze musiałem wszystko obejrzeć, wszystkiego dotknąć. – Zobaczył, jak jej usta zaciskają się lekko i zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie wspomina przyjazdy do Tradition na letnie wakacje. Czym prędzej zmienił temat. – Napijesz się lemoniady?

Po chwili wahania powiedziała:

– Czemu nie.

Przeszli do kuchni. Matt nalał dwie szklanki lemoniady i podał jedną Liz.

– Co robiłaś rano? – spytał.

– Byłam w kościele.

– Tak? Nie widziałem cię.

– Spóźniłam się. Musiałam iść do miasta na piechotę, bo zabrakło mi benzyny.

– A potem?

– Po mszy od razu wyszłam. Nie mam jeszcze siły, żeby spotykać się z ludźmi. – Mówiąc to, czubkiem palca gładziła krawędź szklanki. Matt

zauważył, że jej paznokcie mają dokładnie ten sam odcień różu, co jej pełne usta. – W drodze powrotnej spotkałam koleżankę z dawnych czasów. Molly White, po mężu Martin. Mówiła, że będziesz u niej na obiedzie.

– Wspominała, że się spotkałyście. – Patrzył, jak promienie słońca tańczą w jej jasnych włosach. Kiedyś miała krótką, kędzierzawą czuprynkę. Teraz jej włosy spływały jasną kaskadą na ramiona i piersi. Tak wolał. Jak cudownie byłoby przeczesać ten jedwab palcami...

– Molly mówiła, że straciła męża. Kiedy to się stało?

– Trzy lata temu. Był policjantem. Zginął w akcji. Zastrzelił go jakiś rabuś w supermarkecie. – Matt potrząsnął głową. – On i Molly byli dla siebie stworzeni. Okropnie to przeżyła. Chłopcy oczywiście też. Uwielbiali ojca.

– Czy Molly pracuje?

– Nie. Ale w Vancouver skończyła szkołę pielęgnarską. Pracowała, zanim pojawiły się dzieci. Chciała wrócić do pracy, kiedy Stuart i Ian poszli do szkoły, ale właśnie wtedy zginął Dave. Była tak wstrząśnięta, że o pracy nie mogło być mowy. Teraz jednak myślę, że najlepiej by było, gdyby zaczęła pracować. Ale... – Wzruszył bezradnie ramionami.

Nie powiedział, jak bardzo zależało mu na tym, by Molly znalazła sobie pracę. Nie ciążyło mu opiekowanie się nią, nie. Zaczęło mu jednak przeszkadzać to, że zamiast stawać się coraz bardziej niezależna, Molly praktycznie przestała sobie bez niego radzić.

– Liz... – odezwał się po chwili. – Chciałbym porozmawiać o tobie. Dlaczego wróciłaś do domu? Czy nie powiodło ci się w Nowym Jorku?

– Co miało mi się nie powieść?

– No wiesz... W pracy albo w życiu osobistym?

– To moje sprawy, Matt. Wolałabym, żebyś się nie wtrącał.

– Pytam tylko dlatego, że wyglądasz... na zmęczoną.

– Miałam stresującą pracę, w firmie maklerskiej. Ciągła gonitwa, nieprzekraczalne terminy. Ale teraz wróciłam do domu i wszystko będzie dobrze. A skoro nasza rozmowa zeszła na osobiste tematy... – Spojrzała wymownie na jego zniekształconą twarz. – Czyżbyś trafił w boksie na godnego siebie przeciwnika?

– Taak... – Starał się, by jego głos brzmiał nonszalancko. – Chyba tak.

– Musiało cię to niezłe zabołec? I zranić twoją dumę.

– Nie. Wtedy już nie miałem żadnej dumy.

– Ach, więc pewnie zmasakrowałeś swojego rywala?

– Mój przeciwnik wyszedł bez najmniejszego szwanku. Uniosła brwi w ironicznym zdziwieniu.

– A więc naprawdę trafiłeś na równego sobie. Walczysz jeszcze?

– Nie. To był ostami raz.

– Straciłeś grunt pod nogami?

– Nie, Liz. Tamtej nocy straciłem serce do boks.

Liz spędziła resztę dnia sama. Matt umówił się na wspinaczkę po skałkach z kolegami i uprzedził, że wróci późno. Przygotowała więc lekką kolację, pooglądała trochę telewizję i zmęczona położyła się spać.

Nie mogła jednak zasnąć. Bez przerwy myślała o rozmowie, jaką odbyli z Mattem tego popołudnia. Szczególnie to jego spojrzenie, głos, kiedy mówił: „Tamtej nocy straciłem serce do boks”, nie dawały jej spokoju.

Wtedy odpowiedziała mu z pozoru lekkim tonem:

– Ach, więc musieliście walczyć o kobietę.

– Tak.

Liz poczuła gwałtowne ukłucie zazdrości w sercu.

– Była ładna?

– Nie była ładna. Była piękna. Dla mnie – najpiękniejsza na świecie.

– I kochałeś się w niej?

– Tak.

– Jak bardzo? – Liz nie wiedziała, co w nią wstąpiło. Po co go o to pytała? Żeby samą siebie torturować?

Uśmiechnął się do niej, aż przeszły ją ciarki, lecz w jego oczach nie było cienia uśmiechu.

– Jak bardzo? – powtórzył. – Już nigdy nikogo tak nie kochałem. Ani nikogo tak nie pokocham. Ona nie tylko skradła mi serce. Ona stała się moim sercem.

Liz poczuła w oczach piekące łzy. Musiała się odwrócić, żeby je ukryć. Jednak Matt chyba je zauważył, bo spytał:

– Dlaczego płaczesz?

Po chwili zdobyła się na odpowiedź.

– Po prostu szkoda mi ciebie. Straciłeś ukochaną osobę. Musiało ci być ciężko... Czy to było dawno?

– Całe lata temu.

– A teraz już ci przeszło?

– Nie. Wątpię, czy kiedykolwiek mi przejdzie. Ona była dla mnie stworzona.

Liz usłyszała jęk. Podskoczyła i zdała sobie sprawę, że nie rozmawia już z Mattem, lecz leży w swoim łóżku. Poczowała, że musi wstać. Jedną z przyjemności ciąży było częste odwiedzanie łazienki.

Zapaliła lampkę i zerknęła na budzik. Druga w nocy! I nawet nie zmrużyła oka.

Poszła na palcach do łazienki. Jednak kiedy próbowała otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte. Właśnie się odwróciła, by zejść do toalety na dole, kiedy usłyszała głos Matta:

– Przepraszam, chciałaś wejść?

W świetle lampy zobaczyła, że jego włosy są mokre. Nie miał na sobie nic, oprócz ręcznika okręconego wokół bioder.

– Brałaś prysznic? – Zdała sobie sprawę, że nie narzuciła szlafrocza. Jej skąpa jedwabna koszulka z pewnością niewiele zasłaniała.

– Tak, zimny. Jest tak gorąco, że nie mogłem zasnąć. Musiałem się ochłodzić. Ale teraz, kiedy zobaczyłem cię w tym negliżu – ciągnął tym samym rzeczowym tonem – będę chyba musiał wziąć jeszcze zimniejszy natrysk.

– Czy puścisz mnie na chwilę do łazienki? – spróbowała zignorować jego słowa i przejść obok.

Złapał ją za ramię. Poczowała chłód jego palców na swojej rozpalonej skórze.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz? Co robisz tak późno? Kilka razy słyszałem, jak chodzisz po nocy.

– Tak sobie spaceruję – odparła wymijająco, uwalniając się z jego uścisku. – To przyzwyczajenie jeszcze z Nowego Jorku.

Matt oparł się o framugę drzwi.

– Ach tak? Nigdy nie byłem w Nowym Jorku. Skoro oboje nie możemy spać, może pospacerujemy razem albo napijemy się wina?

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – odparła od niechcienia.

– Nie lubisz już wina?

– Owszem, ale nie o tej porze. – Ziewnęła. – Chyba jednak pójdę spać. Pozwolisz?

Przepuścił ją niechętnie.

– Gdybyś jednak zmieniła zdanie, moja oferta jest zawsze aktualna.

Skinęła lekko głową. Patrzył, jak wchodzi do łazienki i zamyka za sobą drzwi.

Matt postanowił wychodzić do biura wcześniej. Szczególnie w lecie sprawiało mu to przyjemność, kiedy jeszcze chłodne powietrze poranka przesycała słodka woń kwiatów i trawy.

Jednak tego poniedziałkowego poranka wędrował do pracy zupełnie nieświadom piękna budzącego się dnia. Jego myśli bowiem całkowicie zaprzętała Liz.

Nie kłamał, mówiąc, że będzie musiał się ochłodzić po tym, jak ją zobaczył w negliżu. Kłamał natomiast, kiedy powiedział, że wziął pierwszy prysznic, by zmyć z siebie żar nocy. Prawda była taka, że nie mógł zasnąć, ponieważ bez przerwy o niej myślał, torturował się wspomnieniami ich wzajemnej miłości, czułości, namiętności. Pamiętał smak jej pocałunków i to, jak smukłe, gładkie ciało Liz spletało się z jego ciałem...

Lecz teraz, kiedy Liz jest w ciąży, jej ciało niedługo bardzo się zmieni. Liz przybierze na wadze, będzie coraz bardziej nieporadna. Krótko mówiąc, będzie potrzebowała pomocy.

– Dzień dobry, Matt.

– Witaj, Frannie. – Matt uśmiechnął się serdecznie do sekretarki.

Nigdy się nie spóźniała. Szkoda tylko, że uparcie wychodziła z pracy o wpół do piątej. Matt nie miał prawa jednak żądać więcej, w końcu Frannie miała męża i pięcioro dzieci, a zatem mnóstwo domowych obowiązków. Matt wszystko wiedział o rodzinnym życiu sekretarki, gdyż była ona sąsiadką i najlepszą przyjaciółką Molly.

– Miło spędziłaś weekend? – spytał, przeglądając dokumenty, które mu wręczyła.

– Tak, byliśmy z dziećmi w parku wodnym. A ty? –Spojrzała na niego z nieukrywanym entuzjazmem. – Jak było u Molly na obiedzie? Wiem, że przyrządziła jakąś specjalną pieczeń.

Matt poczuł się nagle skrępowany. O co jej chodzi? Dlaczego mówi takim poufałym tonem?

– Bardzo miło. Pieczeń była pyszna.

– I co?

W tym momencie na szczęście zadzwonił telefon. Po chwili Matt odebrał go w swoim gabinecie i po krótkiej rozmowie z klientem zupełnie zapomniał o dziwnym zachowaniu sekretarki.

Liz obudził jakiś potworny zgiełk. Przez chwilę leżała oszołomiona, z sercem walącym jak młot. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to nie wrzask obdzieranej ze skóry ofiary, lecz dźwięki kobzy, wygrywającej jakiś szkocki utwór.

Z trudem usiadła na łóżku i na wpół przytomnie zerknęła na budzik. No dobrze, jest późno, ale to nie powód, żeby mnie poddawać wymyślnym torturom po tak ciężkiej, niemal nieprzespanej nocy.

Chwyciła szlafrok i ruszyła do walki. Jeśli w ten sposób Matt chce ją stąd wykurzyć, to niech lepiej spróbuje innych sposobów.

Hałas dochodził z pokoju obok. Liz z impetem otworzyła drzwi i... zatrzymała się gwałtownie.

Na drabinie, tyłem do niej, stała chuda postać, w pobrudzonych farbą spodniach na szelkach i w czapce baseballowej, zaś na parapecie stał magnetofon, źródło upiornego dźwięku. Liz poczuła się tak, jakby ktoś walił ją młotkiem po głowie.

Podeszła do okna i wyłączyła magnetofon. Malarz odwrócił się raptownie i spojrzał na nią zaskoczony.

– Kim pani jest?! – zawołał, zanim Liz zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Już miała rzucić coś sarkastycznego, kiedy nagle uderzyła ją nieprzyjemna woń farby. Zrobiło jej się duszno, niedobrze. Przyciskając dłoń do żołądka, bąknęła:

– Proszę przestać malować. To nieporozumienie. Pan Garvock nie miał prawa zamawiać... Ja nie jestem w stanie... – szepnęła bezradnie.

Nagle pokój zaczął wirować. Rzuciła się w stronę drzwi. Dobiegła do łazienki w samą porę. Czuła się okropnie, cała spocona, słaba. Nagle zauważyła, że ktoś przytrzymuje ją za ramiona mocnym, zdecydowanym gestem.

– Za chwilę to minie – usłyszała uspokajający głos malarza.

Minie? To powinno dawno minąć, przecież już zaczął się czternasty tydzień. Powoli traciła nadzieję, że kiedykolwiek znów poczuje się dobrze.

Po chwili atak mdłości faktycznie minął. Wstała z trudem. Malarz odsunął się. Ochlapała twarz zimną wodą i wytarła podsuniętym ręcznikiem.

– Już lepiej? – spytał mężczyzna ze współczuciem.

Liz nie mogła oderwać wzroku od twarzy intruza. Tusz na rzęsach... Cięć do powiek... To była kobieta!

– Tak, dziękuję – odparła sztywno. – Chciałabym jednak, żeby pani spakowała farby i wyszła.

Kobieta włożyła ręce w kieszenie.

– Nie mogę. Muszę dokończyć pracę. Chyba że zleceniodawca mnie zwolni – odparła spokojnie, patrząc na Liz badawczo, lecz nie bez sympatii.

Liz zawahała się przez moment. Co zrobić? Chwycić ją za szelki i wyrzucić za drzwi? Nie, to oczywiście nie wchodzi w rachubę.

Kobieta nie czekała dłużej na odpowiedź. Z życzliwym uśmiechem pożegnała się i wróciła do pracy.

Ryk kobzy znów wypełnił dom. Liz zatkała uszy i pobiegła do swojego pokoju. Musi się przygotować na spotkanie ze „zleceniodawcą”!

– W czym mogę pani pomóc? – Sekretarka przyjrzała się nowo przybyłej.

Liz, w eleganckim granatowym kostiumie, podeszła do recepcji, rozglądając się wkoło. Na jednych z drzwi zauważyła tabliczkę z nazwiskiem Matta.

– Chciałabym zobaczyć się z panem Garvockiem.

– Czy jest pani umówiona?

– Nie, ale on na pewno zechce się ze mną zobaczyć. Moje nazwisko Rossiter.

– Obawiam się, że...

Liz stanowczym krokiem zaczęła iść w stronę gabinetu Matta.

– Pan Garvock wyszedł na lunch.

– Czy może mi pani powiedzieć, dokąd? To bardzo pilna sprawa.

Kobieta westchnęła i odparta:

– Wziął kawę i kanapkę, i poszedł do Elmoor Park. Dzisiaj jest taki ładny dzień.

Liz podziękowała i ruszyła na poszukiwania.

Trzy minuty później zobaczyła go na ławce.. Siedział rozparty, z długimi nogami wyciągniętymi przed siebie i z zamkniętymi oczyma. Stukając obcasami po żwirowanej ścieżce, Liz podeszła bliżej. Lecz dopiero kiedy zatrzymała się przed nim, leniwie otworzył jedno oko. Nie okazał zdziwienia.

– Dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że dziś do domu przyjdzie malarz? – odezwała się ostrym tonem. – Moja pobudka nie była zbyt przyjemna, wzięwszy pod uwagę, że obudził mnie ryk kobzy!

– No tak. tego można było się spodziewać. – Matt wyglądał tak, jakby robił wszystko, żeby się nie roześmiać. – Ten malarz, jak mówisz, ostatnio odkrył, że ma praprababcie Szkotkę. Codziennie raczy się...

– Jeśli o mnie chodzi, może się raczyć whisky aż do upojenia i nosić szkocki kilt w kratę. Byle nie w moim domu! Kazałam jej wyjść, ale uparła się, że musi wykonywać polecenia zleceniodawcy. Domyślam się, że zleceniodawcą jesteś ty?

Matt nie mógł dłużej powstrzymać się od śmiechu. Wstał. Cofnęła się o krok. Nawet na wysokich obcasach wydawała się przy nim niska. I bezradna.

– Musimy porozmawiać. – Spoważniał. – Ale tutaj jest za gorąco. Chodźmy do mojego biura. Mam klimatyzację.

Próbowała odwrócić uwagę od jego nieskazitelnie białej koszulki i szerokiej klatki piersiowej. A jeszcze bardziej starała się zignorować reakcję swojego ciała na ten jego męski zapach i... feromony? To z pewnością one spowodowały, że nagle zakręciło jej się w głowie.

Matt chwycił ją pod ramię.

– Muszę cię zabrać z tego upału. Chodźmy się czegoś napić.

Liz nie protestowała. Nie wyrwała też ramienia z jego uścisku.

Matt oparł się o biurko i uważnie spojrzał na Liz popijającą mrożoną herbatę.

Jej widok w parku całkowicie go zaskoczył. Akurat myślał o niej bardzo intensywnie i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stanęła przed nim we własnej osobie. W dodatku wyglądała oszałamiająco w granatowym kostiumie i z włosami spiętymi z tyłu głowy. Bez trudu odgadł jej intencje. Zapewne zamierzała wyglądać jak spod igły, oficjalnie i aseksualnie. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że osiągnęła wręcz przeciwny efekt. Wyglądała doprawdy kusząco. Gdyby tak rozpuścić te jedwabiste, płowe

włosy, przeczesać je palcami. Rozpiąć tę seksowną marynarkę, jeden guzik po drugim...

– Zdaje się, że chciałeś o czymś ze mną porozmawiać? – Liz patrzyła na niego surowym wzrokiem.

Tak, chciał jej powiedzieć o rozmowie telefonicznej z „malarzem”, którą przeprowadził pół godziny temu, a która zdawała się potwierdzać diagnozę Molly. Poza tym przyszedł mu do głowy genialny plan. Zanim jednak się nim z nią podzieli, musi się wpierw przekonać, czy Liz rzeczywiście jest w ciąży. Zrobi to teraz. Raz kozie śmierć. Najwyżej wyjdzie na skończonego głupca.

– Liz? Wiem, że chcesz walczyć ze mną o prawo do domu. Nikt nie może ci tego zabronić...

– Dziękuję za pozwolenie! – W jej głosie zadźwięczała nuta ironii.

– Sądzę jednak – mówił spokojnie – że powinnaś na razie powstrzymać się od podejmowania jakichkolwiek czynności...

– O nie, wykluczone! – przerwała mu ze złością. Jej oczy zabłyśły niebezpiecznie. – Zamierzam przejść do ataku bezzwłocznie.

– ... przynajmniej przez kilka najbliższych miesięcy.

Procesy sądowe potrafią wlec się w nieskończoność. Sama mówiłaś, że czujesz się ostatnio wypalona. Odpocznij, zrelaksuj się. – A widząc, że Liz niemal wrze z niecierpliwości, by znów mu przerwać, dodał z kamienną twarzą: – Jeśli nie chcesz tego zrobić dla siebie, pomyśl o swoim dziecku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Liz patrzyła na Matta w osłupieniu. Jakim cudem dowiedział się o jej ciąży?!

By zebrać myśli, spuściła wzrok i odstawiła na stolik szklankę. Gdy znów na niego spojrzała, jej twarz nie zdradzała już poruszenia.

– Moja ciąża nie ma z tobą nic wspólnego. Tym razem – dodała okrutnie.

Zauważyła, że Matt nerwowo przełknął ślinę.

– Ale tym razem... chcesz urodzić to dziecko?

Zadrżała.

– Oczywiście. Nie wiem, o czym mówisz.

Westchnął ciężko.

– Przepraszam, to było nie fair.

Odwrócił się i podszedł do okna. Niewiązącym wzrokiem patrzył na barwne kwietniki, które zazwyczaj sprawiały mu tyle przyjemności. Teraz przed jego oczyma stanęły bolesne, chwytające za serce wspomnienia.

– Wiem, że cię wtedy zawiodłem. Gdybym był prawdziwym mężczyzną, razem przeciwstawilibyśmy się twojemu ojcu. Nie pozwoliłabyś się odesłać. Nie zmusiłby cię do...

– O czym ty mówisz?

Na dźwięk jej zduszonego głosu, odwrócił się gwałtownie. Liz stała i patrzyła na niego z przerażeniem.

– Co ty mówisz, Matt? Myślisz, że nie chciałam naszego dziecka? Że...

Jednym skokiem był przy niej. Złapał ją za ramiona, potrząsnął nią.

– Liz, nie musisz się tłumaczyć.

– Mój ojciec nigdzie mnie nie odesłał. Nie chciał, żebym miała dziecko, więc uciekłam. Nikomu nie pozwoliłabym, żeby odebrał mi nasze małeństwo. Ale... – urwała, przełykając łzy – i tak je straciłam.

Wyrwała mu się i odeszła parę kroków.

– Chcesz powiedzieć, że przez wszystkie te lata myślałeś, że...

– Tak powiedział mi twój ojciec! – niemalże krzyknął Matt.

A więc Max Rossiter go okłamał? Jednak nie to było najgorsze, lecz to, że on, Matt, w to uwierzył!

– Liz...

Nie wiedział, co powiedzieć, co zrobić. Miała oczy pełne łez, łez zdumienia, rozpacz, bólu doznanej zdrady. Te łzy rozszarpały mu serce.

– Kochanie, ja...

– Nie jestem twoim „kochaniem”! – Z wściekłością otarła łzy. – Nie jestem niczym „kochaniem”, a już z pewnością nie twoim! – Nagle zdała sobie sprawę, że krzyczy.

Odwróciła się na pięcie. Zrobiła jeden krok w stronę drzwi. Nagle poczuła szum w głowie i zanim zdołała chwycić za klamkę, ciemna kurtyna spadła jej na oczy.

Ugięły się pod nią kolana i jak długa runęła na podłogę. Otoczyła ją nieprzenikniona ciemność.

Matt, niby lew w klatce, nerwowo przemierzał szpitalny korytarz. Od czasu do czasu rzucał wściekle spojrzenia na drzwi gabinetu doktora Blacka, które od ponad pół godziny pozostawały szczelnie zamknięte. Co się dzieje z Liz?! Ile czasu potrzeba lekarzowi, by określić, co jej dolega?

Na szczęście klinika znajdowała się dokładnie naprzeciwko biura Matta. Nie tracąc ani chwili, chwycił Liz na ręce i, lekką jak piórko, zaniósł prosto do lekarza. Liz odzyskała przytomność dokładnie w momencie, kiedy znaleźli się

w pobliżu rejestracji. Zaczęła mu się wrywać i żądać, by w tej chwili postawił ją na ziemi. Jakąż odczuł ulgę, gdy Black zgodził się natychmiast przyjąć krnąbrną pacjentkę!

Ale to doprawdy trwa za długo.

Nareszcie drzwi gabinetu otworzyły się.

– A więc do zobaczenia za dwa tygodnie – rozległ się głos Blacka. – Proszę się zapisać u Sandy na następną wizytę.

Oboje stanęli w drzwiach.

– I proszę pamiętać – ciągnął lekarz, poprawiając okulary – nie wolno się pani przemęczać. Drzemka w ciągu dnia, wcześniej do łóżka. Pod żadnym pozorem proszę nie pracować, unikać jakiegokolwiek wysiłku. Przynajmniej na razie. Zasadniczo jest pani zdrowa, ale strasznie wymizerowana. Musimy odbudować pani nadwątlone siły. Proszę też pamiętać o odpowiedniej diecie.

A więc Liz jest zdrowa! – Matt poczuł się nagle lekki jak motyl.

Ciekawe, czy taką samą ulgę odczułby na jego miejscu ojciec dziecka. Czy Liz odeszła od niego, tak jak kilkanaście lat temu porzuciła jego, Matta? Wiedział, że nie ma prawa o to pytać. Nie ma żadnych praw do Liz Rossiter, dawno je utracił.

– Matt?

Zebrał myśli, widząc zbliżającego się doktora Blacka.

– Tak, Alex?

– Pani Rossiter powiedziała mi, że mieszka w Laurel House. Powierzam ją zatem twojej opiece. Pilnuj, żeby się nie przemęczała.

– Oj, oczywiście. Będę ją wszędzie woził – mówił Matt z zapałem. Nagle Liz pojawiła się u jego boku.

– Omówimy to na zewnątrz, dobrze? – Uśmiechnęła się czarująco. – Dziękuję panu, doktorze. Do widzenia!

– Gdzie stoi twój samochód? – spytał Matt, kiedy znaleźli się na ulicy.

– Przyszłam do miasta piechotą. Pamiętasz? Zabrakło mi benzyny. Będę ci wdzięczna, jeśli podwieziesz mnie dzisiaj do domu. Ale zatrzymamy się po drodze na stacji benzynowej i kupię kanister.

– Nie.

– Co?

– Doktor Black powierzył cię mojej opiece. Teraz ja będę cię wszędzie woził. Przynajmniej do najbliższej wizyty lekarskiej za dwa tygodnie.

Już otwierała usta, żeby się sprzeciwić, kiedy dodał spokojnie:

– Dla dobra dziecka, Liz. Tak będzie najlepiej.

Widział, że nie jest szczęśliwa z takiego obrotu sprawy.

Nie lubiła być od nikogo zależna. W końcu jednak mruknęła z niechęcią:

– Chyba jednak masz rację. Ale za dwa tygodnie to się skończy.

– W porządku. Jeśli lekarz się zgodzi.

Kiedy znaleźli się przy jego samochodzie, szarmancko otworzył jej drzwi i pomógł wsiąść.

– Musimy porozmawiać – odezwała się, kiedy ruszyli. – O Laurel House.

– Wrócę z pracy około czwartej. Wtedy pogadamy. A ty utnij sobie popołudniową drzemkę i...

Kątem oka zauważył, że zeszywniała.

– Matt, naprawdę nie musisz udzielać mi rad – powiedziała cicho.

– Ty i ja, i te wszystkie nieporozumienia z przeszłości, to wszystko nie ma już teraz żadnego znaczenia. Teraz liczy się tylko twoje dziecko. Mówiłem przecież, że nie jestem twoim wrogiem. Życzę ci jak najlepiej i nie zamierzam dawać ci żadnych rad. Obmyśliłem pewien plan, o którym powiem ci dziś wieczorem. Mam nadzieję, że go zaakceptujesz. OK?

– OK. Musimy jednak od razu uzgodnić jedną rzecz.

– Tak? – Uniósł brwi.

– Chodzi o tego... o tę malarkę. O tę spadkobierczynię tradycji szkockiej.

– Tak? Słucham.

Właśnie wjechali na podjazd przed domem. Liz zwróciła się w stronę Matta.

– Ona musi odejść – powiedziała krótko.

Matt powściągnął uśmiech i wskazał na wyłaniającą się z domu postać w poplamionym kitlu.

– Oto ona.

Kobieta zatrzymała się na schodach. Matt pomógł Liz wysiąść i poprowadził ją ku drzwiom.

– Chyba nie zostały sobie panie formalnie przedstawione. – Na jego ustach igrał filuterny uśmiech.

Liz spojrzała na niego z nieskrywaną furią.

– Naomi, pozwól, że przedstawię ci córkę Maxa Rossitera, pannę Lizbeth Rossiter. – Matt śmiał się już zupełnie jawnie. – Panno Rossiter – zwrócił się do sztywno wyprostowanej Liz – oto pani Naomi Garvock, moja mama.

Liz leżała w łóżku i upajała się wykrochmaloną, pachnącą pościelą, miękką poduszką, zacienionym pokojem. Czuła się trochę wyobcowana, jakby odcięta od zewnętrznego świata, który nagle stał się jej całkowicie obojętny. Słyszała świergot ptaków dobiegający z ogrodu, potem trzask drzwi samochodu – to Matt wracał do pracy.

W domu zapadła niczym niezmacona cisza. Liz starała się zasnąć, lecz jej umysł zajęty był przetwarzaniem obrazów i wydarzeń dzisiejszego dnia.

A więc owa kochająca Szkocję „malarzka” okazała się być matką Matta. Ależ niespodzianka! A Matt miał niezłą zabawę. Nic dziwnego, przecież dała popis niemal dziecięcego rozdrażnienia i uporu. Nie był przy tym złośliwy,

lecz po prostu rozbawiony. Za to Naomi Garvock zachowała się z prawdziwą godnością, a zarazem sympatycznie. Nawet zganiła syna za niewłaściwe poczucie humoru.

Liz podskoczyła na łóżku na dźwięk cichego pukania do drzwi.

– Kto tam?

Drzwi uchyliły się bezszelestnie.

– To ja – szepnęła mama Matta. – Można? – W rękach trzymała tacę z dwoma dymiącymi kubkami i talerzem ciasteczek. – Pomyślałam, że po takim dniu zasłużyłaś na kubek gorącej herbaty. Poza tym jeszcze nie przeprosiłam cię za tę okropną pobudkę dzisiejszego ranka.

Widząc uśmiech na twarzy Liz, pomogła jej się oprzeć o poduszki i postawiła tacę na stoliku nocnym.

– Mam nadzieję, że lubisz herbatę miętową?

W ciepłych, opiekuńczych rękach Liz poczuła, że opuszczają ją resztki sił. Bezwolnie poddała się opiece tej życzliwej kobiety.

– Myślałam, że pojechała pani razem z Mattem? Nie widziałam drugiego samochodu.

– Przyjechałam na rowerze. – Naomi podała Liz jej kubek i poczęstowała ciasteczkami. – Może przejdziemy na „ty”? Jestem Naomi, wszyscy tak do mnie mówią.

– Z przyjemnością. – Liz wzięła głęboki oddech. –Chciałabym przeprosić za moje złe maniery. Pewnie pomyślałaś: „co to za rozkapryszona baba”?

– Tak naprawdę to pomyślałam – Naomi uśmiechnęła się figlarnie – że mój syn spędził noc z nieprawdopodobnie piękną, młodą kobietą. Więc ja z kolei muszę cię przeprosić za grzeszne myśli. Nie widziałam się z Mattem od piątku i nie miałam pojęcia, że tu jesteś. Ale i tak pewnie bym cię nie poznała. Minęło tyle lat.

– Tak, trzynaście.

– Liz, chciałabym, żebyś wiedziała, że Matt powiedział mi, co się stało, kiedy wyjechałaś z miasta. Bardzo mi przykro, że straciłaś wasze dziecko. Matt zwierzył mi się wtedy, że byłaś w ciąży. Musiałaś bardzo cierpieć.

Słyszając prawdziwe współczucie w głosie Naomi, Liz nieomal się rozplakała.

– To już minęło – powiedziała cicho. – Lekarze powiedzieli mi wtedy, że dobrze się stało. Tym razem jednak doktor Black uznał, że puls dziecka jest prawidłowy i szczęśliwie donoszę ciążę. Muszę tylko o siebie dbać, żeby odzyskać siły.

– Doktor Black jest świetnym lekarzem. Możesz mu zaufać.

Przez chwilę piły herbatę w milczeniu, po czym Naomi spytała nieśmiało:

– Czy ciężko ci jest mieszkać tu, w twoim rodzinnym domu z Mattem, jako nowym właścicielem?

Ponieważ matka Matta była tak otwarta i szczerą wobec niej, Liz postanowiła odwzajemnić się tym samym.

– Mój ojciec nie miał prawa sprzedawać Laurel House. I mam pewien dokument, który udowodni, że jestem prawowitą właścicielką tego domu. A więc, odpowiadając na twoje pytanie, dość trudno jest mi dzielić teraz dom z Mattem, ale zamierzam stanąć z nim do walki i wygrać.

Naomi wyglądała na zdumioną i Liz zdała sobie sprawę z tego, iż Matt prawdopodobnie nie wtajemniczył matki w te skomplikowane sprawy. Jednak Naomi odezwała się po chwili z całkowitym spokojem:

– Jestem pewna, że jakoś ten konflikt rozwiążecie między sobą. Jesteście już dorośli. – Uśmiechnęła się ciepło do Liz i wzięła od niej pusty kubek. – A teraz już pójdę i pozwolę ci wreszcie odpocząć.

W drzwiach zatrzymała się jeszcze raz i powiedziała:

– Matt prosił, żebym na razie wstrzymała się z malowaniem. Ale przyjeżdżam tu co kilka dni, żeby posprzątać, zrobić pranie i uzupełnić zapasy w lodówce, więc jeśli czegokolwiek będziesz potrzebowała, zrób mi listę, a z przyjemnością...

– Nie musisz mi pomagać, dziękuję – przerwała Liz.

– Wiem, że nie muszę, ale chcę – odparta z uśmiechem Naomi. – A teraz prześpij się. Kiedy się obudzisz, Matt będzie już z powrotem.

Matt cicho zamknął za sobą drzwi wejściowe i postawił teczkę na podłodze. Podeszedł do schodów, nasłuchując. W domu panowała absolutna cisza.

Bezszelestnie wszedł po schodach i zamarł. Drzwi sypialni były otwarte na oścież, a przez okna wlewało się popołudniowe słońce.

Odwrócił się, kiedy nagle na progu łazienki stanęła Liz.

– Och! – szepnęła i zaskoczona cofnęła się o krok.

– Przepraszam, nie miałem zamiaru cię przestraszyć – powiedział Matt. – Myślałem, że może śpisz i nie chciałem cię budzić.

– Spałam chyba ze dwie godziny – odparła spokojniej.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Nie pobiegłabym w maratonie, ale nieźle.

– Zejdiesz na dół?

Kiwnęła potakująco głową i ruszyła po schodach, wspierając się ręką o balustradę.

– Czy kiedykolwiek wyszłaś za mąż? – zapytał bez zastanowienia.

– Nie, ale dwa razy byłam zakochana. Myślałam, że ze wzajemnością, ale kiedy przyszło co do czego, obaj mężczyźni mojego życia wystawili mnie do wiatru.

Matt wzdrygnął się, słysząc sarkazm w jej głosie. Rzuciła mu chłodne spojrzenie.

Och, jakże niegdyś ją kochał! I pragnął się z nią ożenić. Kiedy już miałyby pracę i mógłby ją utrzymać. Lecz gdy powiedziała mu, że jest w ciąży, był zaledwie na trzecim roku studiów i zamiast się ucieszyć, być dla niej wsparciem, poczuł przemożny strach, ogarnęła go potworna panika. Bał się, że nie podoła tylu obowiązkom. Powiedział wtedy wiele gorzkich, okrutnych słów.

A kiedy już zwalczył swój strach i zaczął myśleć trzeźwo, było za późno. Liza znikła.

Teraz wróciła i znowu była w ciąży. Sądząc po odpowiedzi, jakiej mu udzieliła, kochała również ojca tego dziecka. Lecz i on ją zawiódł.

– A więc ojciec dziecka... Nie ma go... nie będzie... przy tobie? – wydusił z siebie, zakłopotany.

– Nie. Jestem sama.

– Chciałbym o tym z tobą porozmawiać.

– Nie wyobrażam sobie, co mógłbyś mieć do powiedzenia na ten temat! – zawołała z niechęcią.

– Nie kłóćmy się – poprosił. –I nie powinnaś tak długo stać. – Stanowczym gestem ujął ją za łokieć i poprowadził przez salon ku drzwiom prowadzącym na taras. – Usiądziesz sobie na tarasie, a ja przygotuję obiad.

Stała gwałtownie.

– Sama sobie poradzę. Ugotuję...

Położył palec na jej ustach.

– Niczego nie będziesz gotować. To polecenie lekarza.

Usta Liz były tak pulchne i miękkie. Musiał się powstrzymać, by koniuszkiem palca nie powieść wzdłuż wycięcia górnej wargi.

– Ty umiesz gotować? – spytała.

Zanim cofnęła głowę przed jego dotykiem, wyduła lekko wargi. Odczuł to jak lekki pocałunek. By pokonać nagle pożądanie, odparł szorstko:

– Nie stoję przy kuchni godzinami, ale też nie muszę. Moje kobiety prześcigają się, żeby mi dogodzić. Ale potrafię upiec na grillu wspaniały stek i właśnie to dostaniesz dziś na obiad. A więc... – Ujął ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi balkonowych. – Podczas gdy będę uwijał się przy grillu, ty rozsiądziesz się wygodnie, o tu, na tym fotelu. Możesz na mnie patrzeć. – Mrugnął wesoło.

– Czy mam jakiś wybór? – spytała.

– Nie. Możesz tylko wybrać, co chcesz dostać: stek krwisty, średnio wypieczony czy całkiem zrujnowany, czyli mocno spieczony?

Liz zdecydowała się na stek średnio wypieczony, a dla siebie Matt przygotował stek krwisty. Podał je z ziemniakami i marchewką oraz z sałatką z zielonej sałaty i pomidorów, w sosie winegret. Liz rozkoszowała się każdym kęsem. Po posiłku rozsiadła się wygodnie w ciepłych promieniach popołudniowego słońca i sącząc mrożoną herbatę, przyglądała się, jak Matt sprząta ze stołu. Wyglądał niesamowicie pociągająco. Właśnie teraz zmarszczył brwi, jakby nad czymś się zastanawiał, mogła więc ukradkiem go obserwować. Tak, jego twarz wyszlachetniała z czasem, była nadal przystojna, lecz w mniej banalny sposób. Złamany nos i nieco wpadnięty policzek dodawały Mattowi męskości i powagi. Zarazem wydawał się słodko bezradny. Nagle zapragnęła delikatnie dotknąć tej zniekształconej twarzy, jakby pieszczota mogła ją uzdrowić. Ciekawe, z kim się bił? Jednocześnie zdała sobie sprawę, że wcale nie interesuje jej tożsamość przeciwnika Matta, lecz raczej kobiety, dla której gotów był złamać obietnicę daną matce.

Poczuła ukłucie zazdrości. Irracjonalnej, bezsensownej zazdrości. Bo czy naprawdę zależało jej na tym, by to o niej Matt myślał jako o tej jednej,

jedynej? Przecież zostawił ją, gdy potrzebowała go najbardziej. Jak mogłaby mu ponownie zaufać po tym, co jej zrobił?

Jakiś hałas kazał jej otrząsnąć się z natłoku myśli. To nóż spadł na podłogę ze stosu naczyń, które Matt usiłował wynieść za jednym zamachem do kuchni. W ostatniej chwili Liz złapała miskę, która niepewnie chwiała się na samym szczycie.

– Lenistwo nie popłaca – skomentowała kwaśno.

– Co? – spytał Matt nieprzytomnie.

– Zazwyczaj lepiej pójść dwa razy, niż w ten sposób starać się zaoszczędzić czas.

– Chyba że jest się mistrzem! Przyjrzyj się uważnie.

Podniósł cały stos, razem z miską, do której włożył sztucce. Powoli otworzył drzwi stopą, przytrzymał je kolanem i z tryumfalnym uśmiechem wkroczył do kuchni. Liz wstrzymała oddech. Nie minęło pięć sekund, kiedy rozległ się potworny huk, brzęk, a zaraz potem ryk:

– Kurka wodna!

Liz skwitowała tę wypowiedź gromkim wybuchem śmiechu.

Doktor Black ostrzegał ją przed nadmiernym wysiłkiem i pracą, lecz jednocześnie zalecał krótkie spacery.

Dlatego też Liz wędrowała po ogrodzie, zatrzymując się to tu, to tam, wspominając z rozczeniem wspinaczkę na drzewo albo sadzenie kwiatów pod klonem. Kiedy stanęła pod murem otaczającym ogród za domem, wspomniała dawne nocne spotkania z Mattem po drugiej stronie ogrodzenia.

Matt zobaczył, jak Liz gładzi ścianę muru, pogrążona w zadumie. Bez trudu odgadł jej myśli. Sam też cofnął się myślami do tamtych lat. Tyle razy z zapartym tchem czekał po drugiej stronie muru, aż ujrzy jej jasną czuprynkę i

buzię, ledwo widoczną w poświacie księżyca. Tyle razy chwycił jej drobne ciało w swoje ramiona. A potem kochał się z nią.

Liz zauważyła jego rozmarzone spojrzenie – Potrząsnęła głową i zaczęła iść w jego stronę. Wyruszył jej naprzeciw i spotkali się pod krzakiem pigwy, całym obsypanym czerwonym kwieciem.

– Ogród jest w świetnym stanie. – Liz dotknęła jednego z kwiatów. – Zatrudniłeś ogrodnika?

– Nie. Sam koszę trawę i wykonuję cięższe prace, a o resztę dba mama.

– Kiedy odzyskam dom – nagle Liz zmieniła ton – sama będę zajmować się ogrodem. – Wysoko uniosła brodę. – Tak, jak robiła to moja mama i jej mama, i babcia.

– Liz...

– ... i prababcia. Wiem, że dziecko pochłonie większość mojego czasu, ale zawsze znajdę wolną chwilę dla tego ogrodu. – Liz mówiła coraz głośniej i piskliwiej. – Tak, cieszę się na tę chwilę, kiedy wreszcie będę miała okazję zająć się moim rodzinnym domem!

– Liz! – Matt gwałtownie złapał ją za ramiona i ścisnął tak mocno, że mimo wysiłków nie udało jej się wyrwać. – Posłuchaj mnie! Czy nie widzisz, jak się sama nakręcasz? To nie jest dobre ani dla ciebie, ani tym bardziej dla twojego dziecka. Rozumiem, co czujesz, ale kupiłem ten dom legalnie.

– Mam dokumenty, które udowodnią, że mój ojciec nie miał prawa sprzedać domu. Listy, które napisała moja mama do swojej najlepszej przyjaciółki Melissy. Pisała, że zmusiła ojca do przysięgi, że kiedy skończę dwudziesty pierwszy rok życia, moje nazwisko znajdzie się na akcie własności. Zresztą, byłam świadkiem, jak kiedyś mama prosiła o to ojca i on się zgodził.

– Wysłuchaj tylko mojego planu. Proponuję, żebyśmy oboje tu zamieszkali.

– O, nie! Nie ma mowy!

– Aż do porodu. Wtedy, jeśli nadal będziesz chciała włączyć się po sądach – proszę bardzo, twój wybór. Ale teraz z pewnością nie pozwolę, żebyś narażała zdrowie swoje i dziecka! – Matt odetchnął głęboko i dodał spokojniej, choć z nutą błagania w głosie: – Proszę, przemyśl moją propozycję.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Liz zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nie mam o czym myśleć. Zamierzam od razu...

– Liz, proszę cię.

– Nie naciskaj, Matt. – Odsunęła się od niego, kiedy wyciągnął do niej rękę.

– Nie będę dłużej cię przekonywał. I tak zaraz wychodzę. Wrócimy do tego rano.

– Nie zmienię zdania.

– Rano przyjmę każdą twoją odpowiedź.

Wolno skierowali się w stronę domu.

– Dokąd wychodzisz? – spytała po chwili.

– Zabieram Molly na aukcję, z której dochód przeznaczono na cele charytatywne, a potem na potańcówkę.

– Czy to okazja formalna? – starała się zachować lekki ton, choć aż skręcało ją z zazdrości. Lubiała Molly, ale dlaczego jej nowym mężczyzną musiał być właśnie Matt?

– Nie, tylko tańce w klubie. Właściwie pora się pośpieszyć, bo mam być u Molly za dwadzieścia minut.

Kiedy stanęli na tarasie, spytał:

– A ty, co będziesz robić?

– Oj, o mnie się nie martw. Potrafię o siebie zadbać.

– Chcę tylko, żebyś się nie przemęczała. Pamiętaj, co mówił lekarz.

– Matt, ja cały czas o tym pamiętam. Nic innego nie robię. Wierz mi, dziecko jest dla mnie najważniejsze. – Delikatnie pogłaskała się po brzuchu. – Wszystko robię jedynie dla jego dobra.

Matt rozważał słowa Liz w samochodzie. Jeśli rzeczywiście dobro dziecka jest dla niej najważniejsze, mógł mieć nadzieję, że Liz odłoży walkę o dom na później.

W lepszym nastroju zaparkował samochód i rześkim krokiem podszedł do drzwi wejściowych.

Zanim zdążył zapukać, drzwi otworzyły się szeroko i na progu stanęła Molly.

– Cześć! – zawołała. Jej oczy błyszczały ożywieniem. Okręciła się wokoło. – Jak ci się podoba moja nowa sukienka? Prawda, że ładna?

Rzeczywiście była urocza i podkreślała kolor jej orzechowych oczu. Lecz jedyne oczy. o których teraz mógł myśleć, należały do Liz; jasne, błękitne i... pełne smutku i żalu, kiedy powiedział jej, że umówił się na wieczór. Wiele by dał, by móc ten wieczór spędzić z nią.

– A więc? Podoba ci się? – ponowiła pytanie Molly.

– Wyglądasz wspaniale – powiedział ze sztucznym entuzjazmem. – Piękna sukienka i leży na tobie jak ulał!

– Wielkie dzięki za komplement. – Molly dygnęła teatralnie. – Pan też nieźle się dziś prezentuje.

Matt ujął ją za ramię i poprowadził do samochodu.

– O, wyczuwam też nowe perfumy – rzucił.

– Dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy, więc postanowiłam zaszaleć. – Molly uśmiechnęła się czarująco. – Pani Bertuzzi zajmie się dziećmi. Chłopcy mogą zostać u niej na noc – dodała, zalotnie spuszczać wzrok i rumieniąc się lekko.

– To niezły pomysł – odparł Matt odruchowo i otworzył przed nią drzwiczki.

Wsiadając, lekko otarła się o niego, zaglądając mu w oczy. Matta ogarnął nagły niepokój. O co tu chodzi? Dopiero po chwili zrozumiał, że Molly chce go uwieść! Omal nie wjechał w bramę wjazdową. Nigdy nie myślał o Molly jako o kobiecie, była dla niego jedynie wdową po przyjacielu, bliską przyjaciółką. Jak to się stało, że ona zaczęła go traktować inaczej? Może mylnie wzięła jego troskę i życzliwość za oznakę innego rodzaju zainteresowania? Gdzie popełnił błąd?

I co on teraz, do diabła, powinien zrobić?!

Jednak problem rozwiązał się sam, przynajmniej tymczasowo. Pod koniec potańcówki Molly została wezwana do telefonu przy barze. Dzwoniła pani Bertuzzi. Okazało się, że Ian dostał gorączki, zaczął wymiotować i chce wrócić do domu.

– Przepraszam, Matt, musimy jechać. – W głosie Molly brzmiało rozczarowanie. – Ian jest chory.

Po drodze zabrali dzieci do domu. Tan był rozpalony, kilkakrotnie wymiotował. Molly zaproponowała Mattowi, żeby jechał do domu, jednak chore dziecko prosiło, by wujek posiedział przy jego łóżku.

Wiec został. Stuart zasnął od razu, zaś Ian aż do czwartej rzucał się na łóżku, biegał do łazienki. W końcu zapadł w drzemkę.

– Dziękuję za pomoc. – Molly uśmiechnęła się ponuro rozprostowując pomiętą sukienkę. – Ten wieczór nie wypadł dokładnie tak, jak zaplanowałam. Będę musiała ci to wynagrodzić.

W drodze do domu Matt postanowił, że zanim to nastąpi, powie Molly prawdę: była jego najlepszą przyjaciółką, lecz nigdy nie będzie nikim więcej.

Liz nagle się zbudziła. Nie wiedziała, co wyrwało ją ze snu, ale i tak musiała iść do łazienki. Już otwierała drzwi sypialni, kiedy usłyszała warkot samochodu. Podeszła do okna i dyskretnie odchyliła firankę. Matt wysiadał z

samochoodu. A więc dopiero teraz wrócił od Molly! Zerknęła na zegarek – po czwartej! Coś ścisnęło ją w żołądku. I natychmiast poczuła na sobie złość. Co może ją obchodzić fakt, że Matt spał z Molly? No, bo cóż innego mogli robić od siódmej wieczór do czwartej rano? Tańczyć?

Ciężko oparła się o ścianę i stała tak, póki nie usłyszała, jak Matt wchodzi na górę i zamyka drzwi swojego pokoju. Poczekala jeszcze chwilę, dając mu czas, by zasnął, i wymknęła się do łazienki.

Za nic nie może pozwolić, by Matt pomyślał sobie, że czekała na jego powrót! Że myślała o nim.

Nie, to byłoby fatalne, poniżające, żenujące dla nich obojga, gdyby domyślił się, co ona do niego czuje! O nie, nigdy! Zrobi wszystko, by Matt sądził, że jest jej obojętny. I zacznie mu to udowadniać przy najbliższej okazji.

Kiedy zeszła rano na dół, Matt wyszedł już do pracy. W kuchni pachniało jajecznicą na szynce. Na stole znalazła notatkę:

Będę w domu w południe. Mam nadzieję usłyszeć wówczas twoją odpowiedź.

Moja odpowiedź nie zmieniła się ani na jotę, pomyślała kwaśno.

Nie minęła minuta, kiedy nagle zapach jajecznicy stał się nieznośny. Poczula mdłości i w ostatniej chwili zdołała dobiec do łazienki. Zdawać się mogło, że mdłości nigdy nie ustana, były jeszcze gorsze niż wczoraj. Ledwo starczyło jej sił, by dowlec się do łóżka.

Właśnie tu zastał ją Matt, gdy wrócił do domu. Delikatnie zapukał do drzwi jej sypialni.

Z trudem uniosła ciężkie powieki.

– Rany boskie, Liz! Co się dzieje? Źle się czujesz? – zawołał z ogromnym niepokojem, widząc, jaka jest blada i osłabiona.

– Matt, ja naprawdę nic nie zawiniłam. Zrobiło mi się tylko trochę niedobrze, więc wróciłam do łóżka.

Zacisnął usta. W końcu odezwał się, z trudem powstrzymując emocje:

– To koniec, Liz. Od tej pory ja tu rządzę. Nie wolno ci nic robić. Będziesz tylko odpoczywać. Będziemy mieszkać tu razem, unikając za wszelką cenę konfliktów. Aż do porodu.

Liz uniosła się lekko i już chciała coś powiedzieć, lecz Matt ją uprzedził: – Liz, czy ty nie widzisz, że nie jesteś w stanie o siebie zadbać? Nie mówiąc już o dziecku!

– Przestań! Zrozumiałam! – zawołała i dodała spokojniej: – Masz rację. To nie ma sensu. Nie mogę przedkładać dumy nad zdrowy rozsądek. Na razie zamieszkamy tu razem. Ani nie mam siły cię stąd wyrzucać, ani ochoty szukać hotelu. – Opadła na poduszki. – Zawrzyjmy rozejm. Ale po porodzie ruszę do ataku. Wszystkie chwytaki dozwolone. Pamiętaj.

A więc tę rundę wygrał.

Matt z trudem krył zadowolenie. Miał ochotę odtańczyć jakiś szkocki taniec, powstrzymywał go jedynie widok bladej, obolałej twarzy Liz.

Więc zamiast okazać jej swą radość, usiadł na brzegu łóżka i delikatnie położył rękę na jej biodrze.

– Może byś coś zjadła? Mogę podgrzać trochę rosółu.

– To brzmi zachęcająco, dzięki. – Na ułamek sekundy dotknęła jego dłoni, lecz czym prędzej cofnęła rękę. – Jesteś bardzo miły, Matt. Doceniam to. Muszę ci się przyznać, że jadąc tu, obawiałam się spotkania z tobą.

– Czego mogłaś się bać?

– Teraz wiem, że nie było najmniejszego powodu do obaw. Myślałam, że może będziesz mi się jeszcze podobał. Ale na szczęście te obawy okazały się zupełnie bezpodstawne. Och, co za ulga. – Po chwili milczenia dodała: –

Kiedyś, owszem, było miło. Ale teraz jest nawet lepiej. Wolę obojętność niż tamte emocjonalne wzloty i upadki.

Równie dobrze mogłaby go kopnąć obcasem w żołądek. Nawet mniej by bolało.

I kiedy schodził po schodach, pomyślał sobie, że tak jak Molly, on również tkwił w świecie iluzji. W jego marzeniach żyli z Liz długo i szczęśliwie.

Wiedział, że nigdy nie przestanie jej kochać. I będzie się nią opiekował tak długo, jak tylko ona mu na to pozwoli.

Jedyne, co musi teraz zrobić, to skrzętnie skrywać swą miłość.

Zaraz po wyjściu Matta Liz wstała, wygładziła ubranie i poszła do łazienki nieco się odświeżyć.

Kiedy weszła do kuchni, Matt właśnie stawiał miseczkę parującego rosółu na tacy.

– Dziękuję, Matt. Zjem tutaj. Och, jak cudownie pachnie. – Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. – Z torebki?

– Z lodówki.

– Od Molly czy od twojej mamy?

– Od mamy. Gotuje najlepszy rosół na świecie. I wierzy, że to wspaniałe lekarstwo na każdą dolegliwość. – Postawił przed nią talerz, łyżkę i miseczkę z krakersami.

– Ty nie jesz?

– Nie. Umówiłem się na lunch z klientem. Muszę zaraz wracać do biura.

– Bardzo się śpieszysz? Chciałabym zadać ci parę pytań, które nurtują mnie od jakiegoś czasu.

– OK. Mam jeszcze chwilę. Nie krępuj się. – Usiadł naprzeciwko niej.

– A więc, kiedy dzwoniłam tu kilka tygodni temu z Nowego Jorku...

– Dzwoniłaś? Nie nagrałaś się na sekretarce?

– Nie, nie zależało mi na tym, żeby z kimkolwiek rozmawiać. Chciałam tylko upewnić się, że ojciec jeszcze tu mieszka. Więc, kiedy usłyszałam jego głos na sekretarce, sądziłam, że...

Matt spojrzał ze współczuciem i zapytał:

– Dziwisz się, dlaczego zostawiłem jego nagranie na sekretarce?

– Właśnie.

– Mam nowy numer i swoje własne nagranie. Zostawiłem też jednak stary numer, na wypadek, gdybyś kiedyś zadzwoniła.

– Ach tak, rozumiem.

– Widzisz... Nie byłaś na jego pogrzebie, więc pomyślałem, że w ogóle nie wiesz o jego śmierci. Czy przyjechałabyś na pogrzeb, gdybyś wiedziała?

– Oczywiście. – Przelknęła zupę i mówiła dalej. – Żałuję, że nie przyjechałam wcześniej, jeszcze przed jego śmiercią. Chętnie...

– Pogodziłabyś się z nim?

– Pogodziłabym się z nim? – Patrzyła na niego z niedowierzaniem. – Chyba żartujesz! Nigdy w życiu! Pogodzenie się z kimś jest możliwe tylko wtedy, gdy obie strony zawiniły i czują skruchę. Ja nie byłam winna. Moja wina polegała tylko na tym, że słuchałam głosu serca... i hormonów – dodała ironicznie. – Podczas gdy mój ojciec... Uważam, że rodzice powinni kochać swoje dzieci bezwarunkowo. Jeśli ojciec w ogóle kiedykolwiek mnie kochał, w co nie wierzę, to pozbawił mnie swojej miłości za karę. Za to, że nie spełniłam jego oczekiwań, wymagań. Żałuję, że nigdy mu nie powiedziałam, jak okrutnie wobec mnie postąpił.

Matt pokręcił głową.

– On bardzo się zmienił w ostatnim czasie, Liz. A poza tym, co by to dało.

– Może jemu nic, ale mnie byłoby o wiele lżej!

Zmarszczył brwi, jakby go rozczarowała.

– Liz, którą pamiętam, była pełna ciepła.

– To była inna Liz, z dawnych, zamierzchłych czasów. – Odsunęła talerz.

Nagle straciła zupełnie apetyt. Stare, niezabliźnione rany na powrót zaczęły boleć. – Wszyscy odpowiadamy za nasze czyny, Matt. Ojciec kazał mi odpowiadać za moje, lecz jego nikt nigdy nie pociągnął do odpowiedzialności.

Matt już otworzył usta, by coś odrzec, lecz go uprzedziła:

– Ciebie też nikt nie pociągnął do odpowiedzialności – dodała gorzko.

Niemal fizycznie odczuła jego szok i ból.

– Ty również brałaś w tym udział, Liz.

– Tak, ale ty miałaś dwadzieścia lat, byłeś studentem. A ja? Byłam niemal dzieckiem.

– To był cios poniżej pasa.

– Jako bokser na pewno sobie z tym poradzisz – odparowała.

Na długą chwilę zapanowała pełna napięcia cisza. Matt przerwał ją pierwszy. Głosem całkowicie wyczerpanym z emocji powiedział:

– To było dawno, Liz. Mówiłem ci już, że straciłem do tego serce.

– A może... – mówiła zimno, z kalkulacją, jakby chciała nagle zemścić się za całe cierpienie, którego zaznała. – Może straciłeś odwagę?

Milczał, co jeszcze bardziej ją prowokowało.

– Wiele rzeczy mogłabym ci zarzucić, ale nigdy nie sądziłam, że tchórzostwo będzie jedną z nich.

Napięcie między nimi sięgnęło szczytu. Wiedziała, że oskarżenie dotknęło go do żywego. Że to dla niego najgorsza obelga.

Jednak nic nie powiedział. Tylko na nią patrzył, z takim smutkiem, iż Liz nagle poczuła, że zaraz zacznie łkać z bólu, żalu, wstydu.

Nie powinna była tego wszystkiego mówić. Ani wypominać mu różnicy wieku między nimi. Matt nigdy by jej nie wykorzystał. Myślał, że jest starsza, jako bardzo zdolna uczennica, skończyła szkołę w przyspieszonym tempie. Kiedy dowiedział się, że Liz ma dopiero siedemnaście lat, było już za późno. Nie tylko oszaleli na swoim punkcie, ale zostali już kochankami.

Matt odezwał się z udawanym spokojem:

– Liz, wiem, że nigdy mi nie wybaczysz, ale może spróbujesz wybaczyć swojemu ojcu?

– Nawet gdybym wybaczyła mu, że mnie zdradził, nigdy nie wybaczę mu tego. że zdradził moją mamę, sprzedając ten dom!

– Liz, błagam, nie wracajmy do tego. Niech to licho! Gdybym wiedział, do czego doprowadzi ta rozmowa, od razu pojechałbym do biura. Takie zdenerwowanie na pewno nie służy ani tobie, ani dziecku!

– Niełatwo mi zachować spokój, kiedy uświadamiam sobie, co on zrobił. Ten dom należał do mojej mamy! Przez cztery pokolenia był w jej rodzinie. Ojciec nie miał żadnego prawa go sprzedać! Nie miał prawa sprzedawać moich wspomnień. Gdziekolwiek nie spojrzę, przypomina mi się mama, to szczęście, którego zaznałam dzięki niej. Jak on mógł. – Wzruszenie nie pozwoliło jej dalej mówić.

Przełknęła jednak łzy i dodała z uporem: – Nie powinienes go bronić.

Istniało coś, co Matt mógł powiedzieć Liz, by choć trochę załagodzić tę gorycz. Potem wszystko Gavinowi wytłumaczy.

– Liz, jest coś, czego nie wiesz o swoim ojcu.

– Na pewno nic dobrego.

– Dzwoniłaś do niego kilkakrotnie, kiedyś nawet zostawiłaś mu swój nowy numer, prawda?

Niechętnie skinęła głową.

– Ale twój ojciec nigdy nie odebrał telefonu, nigdy nie oddzwonił.
– I co z tego? Pewnie zaraz mi powiesz, że to z powodu wylewu?
– Miał kłopoty z mówieniem, ale potrafił porozumieć się z Gavinem, swoim opiekunem i pielęgniarzem.

– Więc mógł jego poprosić, by ze mną porozmawiał. Wybrał milczenie – dokończyła z pogardą w głosie.

– Wybrał milczenie, ponieważ wiedział, że gdybyś dowiedziała się o jego kalectwie, przyjechałabyś, żeby się nim opiekować. Znał cię i nie chciał być dla ciebie ciężarem. To, że unikał kontaktu, było prawdopodobnie najbardziej altruistycznym gestem, na jaki twój ojciec kiedykolwiek się zdobył.

Liz zbladła.

– Skąd o tym wiesz?

– Gavin Smythe, pielęgniarz twojego ojca, jest moim przyjacielem od wielu lat. Opiekował się ojcem od wylewu aż do śmierci. Pytałem go, czy przyjeżdżasz na pogrzeb. Powiedział, że nikt nie ma z tobą kontaktu. To właśnie wtedy opowiedział mi o tym, że kiedyś dzwoniłaś. Próbował skontaktować się z tobą pod podanym numerem, ale powiedziano mu, że Melissa Brent – do jej mieszkania się dodzwonił – zmarła siedem lat temu i że nikt nie wie, gdzie jesteś. Kim ona była, Liz?

– To przyjaciółka mojej mamy, z Chicago.

– To do niej uciekłaś?

– Tak. Przygarnęła mnie. Wysłała również na studia. Nigdy nie wyszła za męża, nie miała dzieci. Byłam dla niej jak córka. Kiedy umarła, mój cały świat runął w gruzy. Czułam się zagubiona. To wtedy po raz pierwszy pomyślałam o powrocie do domu. Ale kiedy ojciec nie odpowiadał na moje telefony, uznałam, że nic się widocznie nie zmieniło. Postanowiłam raz na zawsze wykreślić go z mojego życia. Przeniosłam się do Nowego Jorku i zaczęłam

wszystko od nowa. Nawet udało mi się zrobić karierę zawodową, ułożyłam sobie życie.

– Właśnie tego pragnął dla ciebie twój ojciec.

– Jeśli to, co mówił ci Gavin Smythe, jest prawdą, pewnie tak. Ale nie zmienia to faktu, że zdradził moją mamę. Do niej należał Laurel House, lecz była tak dobra, że umieściła i jego nazwisko na akcie własności. Kiedy umierała, prosiła go, by nie zapomniał dopisać do aktu mnie. Obiecał jej to, lecz złamał słowo. Inaczej nie mógłby sprzedać domu bez mojej zgody. – Liz westchnęła ciężko. – OK. Zmieńmy temat, dobrze? Nigdy nie osiągniemy porozumienia jeśli chodzi o prawa do tego domu!

Matt całkowicie się z nią zgadzał co do konieczności zmiany tematu. Kłótnia nie była w jej stanie najlepszym pomysłem.

– Tak będzie najlepiej. Zresztą i tak muszę lecieć. – Matt wstał. – Czy mam ci coś kupić w drodze do domu?

Liz również się podniosła.

– Może kanister benzyny? Uśmiechnęli się do siebie.

– Jeszcze nie minęły dwa tygodnie. Poczekaj na wizytę u lekarza. Wymień cokolwiek, oprócz benzyny.

Nagle poczuł się jak jej mąż. To uczucie było całkiem przyjemne! Cudownie byłoby być jej mężem, odbierać od niej telefony w pracy, słyszeć jej głos w słuchawce: „Kochanie, nie zapomnij kupić chleba!”.

Odprowadziła go do drzwi. Słońce wtargnęło do domu i rozświetliło jej spływające na ramiona włosy. Zamknął oczy. Zapraagnął przyciągnąć ją do siebie i pocałować.

Gdyby był jej mężem, zrobiłby to.

Ale nim nie był.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kolejne dni mijały spokojnie.

Liz zawsze uwielbiała życie na wsi. Upajała się spokojem panującym w Laurel House. Szczególną przyjemność sprawiały jej spędzane na świeżym powietrzu popołudnia. Rozkładała się w cieniu na leżaku i czytała albo marzyła o mającym wkrótce przyjść na świat dziecku.

Razem z Mattem stworzyli cały system zwyczajów i rytuałów, które pozwalały im mieszkać spokojnie pod jednym dachem. Jednak pod tą pozorną obojętnością skrywało się niesamowite erotyczne i emocjonalne napięcie. Wystarczyło, by Matt oparł się o jej ramię, a Liz mimowolnie drżała z podniecenia.

Na domiar złego, spędzali ze sobą mnóstwo czasu. Ich jedyną towarzyszką z zewnętrznego świata była Naomi, i to tylko kilka razy w tygodniu, w czasie wolnym od pracy. Jako asystentka burmistrza miasta nie miała go jednak dużo.

Liz i Naomi bardzo się polubiły. Choć mama Matta nie marnowała czasu, kiedy odwiedzała Laurel House –sprzątała, pracowała w ogrodzie, gotowała –zawsze znalazła wolną chwilę, by przed odjazdem wypić kubek herbaty miętowej z Liz, pogawędzić z nią o błahostkach.

Podczas jednej z takich wizyt, kiedy siedziały na tarasie, Naomi wspomniała, że Molly choruje na grypę.

– Zaraziła się od chłopców – opowiadała. Liz dołała jej herbaty. – Wczoraj z nią rozmawiałam. Prosiła, by ci przekazać, że wkrótce się z tobą skontaktuje. A ty, jak się czujesz, Liz? Kiedy idziesz na kolejną wizytę do doktora Blacka?

– Już jutro. – Liz uśmiechnęła się. – Naprawdę czuję się dużo lepiej. Dzięki Bogu, przeszły mi mdłości! Matt jest taki troskliwy! Traktuje mnie jak jakąś księżniczkę!

– Pozwól mu się rozpieszczać, Liz. – Naomi spojrzała na nią ciepło. – Cięża to niezwykle okres w życiu kobiety. Poza tym, zawsze byłaś dla Matta bardzo ważna.

O, tak. Akurat w to uwierzę, pomyślała ironicznie Liz. Zawsze była dla niego ważna. Szczególnie trzynaście lat temu, kiedy powiedziała mu o ciąży! Spojrzał na nią wtedy, jakby spadła z innej planety. Jakby była jego najgorszym wrogiem!

– Liz? Czy czujesz się niezręcznie w tej sytuacji? Pod opieką Matta? – zapytała Naomi z właściwą sobie szczerością.

– Jest coś, co mi przeszkadza – odparła Liz po krótkim zastanowieniu. – To, że Matt chyba traktuje opiekę nade mną jako swoistą pokutę za dawne grzechy. – Liz spojrzała Naomi prosto w oczy. – To nie takie proste. Powinien był zostać przy mnie, wspierać mnie podczas bardzo trudnej ciąży. Dzielić ze mną ból po stracie dziecka. Tymczasem wziął samą przyjemność, a od jakiegokolwiek odpowiedzialności po prostu się wymigał!

– Och, nie, Liz! Wcale tak nie było! Matt... – Naomi urwała nagle i zacisnęła usta, jakby bała się, że powie za dużo. Błagalnie patrzyła na Liz, chyba pragnąc dać jej coś do zrozumienia.

Liz odwzajemniła jej pełne powagi spojrzenie.

– Naomi?

Naomi pokręciła głową.

– Nie mogę nic więcej powiedzieć. Wybacz.

– Przecież jeszcze nic nie powiedziałaś. Co mam ci wybaczyć?

– To sprawy Matta. Ja nie mam prawa niczego ci tłumaczyć. On sam z pewnością kiedyś o wszystkim ci opowie. Proszę cię tylko, żebyś nie oceniała go zbyt pochopnie. Wierz mi. Zawsze byłaś dla niego bardzo ważna. Całe lata nie mógł przeboleć tego, że cię stracił. Zresztą chyba dotąd mu się to nie udało.

– On mnie nie stracił. Dokonał wyboru.

– Wpadł w panikę – cicho powiedziała Naomi. – Spanikował, bo myślał, że musi między nami wybrać. A ponieważ nie chciał zranić mnie, zranił ciebie.

– Nie rozumiem. Jak to, nie chciał zranić ciebie? – spytała zaskoczona Liz.

– Myślał, że właśnie taki ma wybór. Pozwól, że ci wytłumaczę. Kiedy zmarł ojciec Matta, zostałam sama z sześciolatkiem synem. Podjęłam dwie prace: jako kelnerka i jako opiekunka w domu opieki społecznej. Przez całe lata odkładałam każdy grosz, żeby zapewnić Mattowi dobre wykształcenie. Gdy tylko mógł mi pomóc finansowo, robił to. Wykorzystywał każdą okazję, by zarobić. Marzył o studiach prawniczych, a ja stawałam na głowie, żeby spełniło się jego marzenie. Właśnie zdał na trzeci rok studiów, kiedy powiedział mi, że jesteś w ciąży. Zdawał sobie sprawę, że nie utrzyma rodziny, jeśli...

– Nie rzuci studiów i nie podejmie pracy? Wiem o tym, Naomi. I wiem, że byłoby to dla niego ogromne poświęcenie, rezygnacja z marzeń. Ale ja też zrezygnowałam z marzeń! W życiu trzeba liczyć się z konsekwencjami swych czynów.

– Liz, on nie myślał o sobie. Myślał o mnie, o moim poświęceniu i wysiłku! Nie wiedział tylko, że ja w ogóle nie traktowałam tego w ten sposób. Pragnęłam dla niego jedynie szczęścia. Gdyby powiedział mi o wszystkim wcześniej, gdyby nie spanikował, tylko przyprowadził cię do mnie, jakoś dalibyśmy sobie radę. Bylibyśmy po prostu rodziną.

Liz poczuła nagle straszny ucisk w żołądku. Przez moment walczyła ze łzami, aż w końcu odezwała się zdławionym głosem:

– Żałuję, że tak się nie stało, Naomi. Nigdy nie miałam prawdziwej rodziny. Szczególnie od śmierci mamy. Mój ojciec nie bardzo potrafił zajmować się dziećmi.

– Twój ojciec nie był łatwym człowiekiem, Liz. Ale na swój sposób cię kochał. Jestem tego pewna.

Chwilę później Liz patrzyła, jak Naomi odjeżdża na swoim rowerze. Jeszcze raz pomachała jej na pożegnanie.

Długo myślała o ich rozmowie. Szczególnie nurtowało ją pytanie, dlaczego Naomi tak gwałtownie urwała, kiedy Liz oskarżyła Matta o to, że uniknął odpowiedzialności za swój czyn. Czego nie mogła jej powiedzieć? Czy przyrzekła Mattowi dochować jakiejś strasznej tajemnicy?

Ciężko usiadła przy stole w kuchni. Znowu musiała odpiąć kolejny guzik spodni. Ostatnio wszystkie ubrania powoli stawały się za ciasne. Trzeba będzie wybrać się po kilka sukienek ciążowych i po jakieś spodnie. Może jutro, po wizycie u lekarza? Ale jak to zrobić? Nadal nie ma ani kropli benzyny w samochodzie.

Wykręciła numer biura Matta. Sekretarka natychmiast ją połączyła.

– Liz?! Czy coś się stało? – W głosie Matta brzmiał nieukrywany niepokój.

– Matt, nic się nie stało – odpowiedziała wolno i cierpliwie, jakby zwracała się do małego dziecka. – Dzwonię, bo chcę cię poprosić, byś przywiózł mi dzisiaj kanister benzyny.

– Ale po co?

– Jutro chcę pójść po zakupy. Potrzebuję trochę nowej garderoby.

– Zawiozę cię.

– O, nie, nie ma mowy. Nie będę ci przeszkadzać w pracy. Jeśli nie przywieziesz mi dziś benzyny, pójdę piechotą do miasta i sama sobie poradzę.

– Co za uparta kobieta! Wiesz co, Liz? Mam pomysł. Dzisiaj jest czwartek. Sagebrush Mall i inne sklepy w Crestville są otwarte do dziewiątej. Wrócę do domu wcześniej, pojedziemy do miasta, zjemy obiad w restauracji i poczekam na ciebie w księgarni, podczas kiedy ty będziesz robiła zakupy. OK?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał z udaną powagą:

– Panno Rossiter. Chyba zasłużyłem na chwilę przyjemności? Usługuję pani od tygodni, gotuję i sprzątam. Wypruwam sobie żyły! I nie miałem ani jednego wolnego popołudnia!

Liz zachichotała mimo woli.

– Matt, ja naprawdę już lepiej się czuję. Nie musisz mnie wszędzie wozić!

– OK. Pójdźmy na kompromis. Jeśli pozwolisz mi zawieźć się dzisiaj do Crestville, jutro po wizycie u lekarza wpadniemy na stację benzynową i kupimy ci ten twój upragniony kanister benzyny! Znow będziesz niezależnym kierowcą. OK? Umowa stoi?

Czuła, że Matt nie zmieni zdania. No a poza tym, jego propozycja brzmiała doprawdy kusząco.

– OK – zgodziła się ze śmiechem.

– Super. Teraz się zdrzemnij. Przyjadę po ciebie około wpół do piątej.

Właśnie wybiła druga i Liz miała pójść na górę, by uciąć sobie drzemkę, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Na progu stała Molly. Wyglądała nader atrakcyjnie i świeżo w dżinsach i błękitnym podkoszulku.

– Cześć Beth, to znaczy, Liz! – zawołała radośnie, serdecznie przytulając przyjaciółkę. Wokół roztoczyła się woń fiołkowych perfum.

– Molly! Witaj. Już jesteś zdrowa?

– Jak ryba, dziękuję. A ty? – Molly raźnie weszła do środka. – Słyszałam, że oczekujesz pewnego radosnego wydarzenia?

Naomi uprzedziła Liz, że wieść o jej odmiennym stanie zdążyła już obiecać całe miasto. Ponoć była to głównie zasługa Franny, znanej z zamięłowania do plotek.

– Czuję się coraz lepiej – odparła Liz, prowadząc Molly do salonu. – Napij się herbaty lub kawy?

– Nie, dziękuję, Liz. Właśnie jadłam lunch. – Molly usiadła wygodnie w fotelu i zazdrośnie spojrzała na przyjaciółkę. – Pierwsza ciąża to okres wspaniałych przeżyć. Wszystko jest takie nowe, ekscytujące! To takie fascynujące doświadczenie. Podczas drugiej ciąży wszystko już jest wiadome. Zawsze chciałam mieć dużą rodzinę – mówiła Molly rozmarzonym tonem. – Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym, kiedy byliśmy małe. Zresztą zwierzałyśmy się sobie ze wszystkiego.

– Tak, pamiętam. Mówiłaś, że czwórka to doskonała liczba.

– I nie zmieniałam zdania! Matt też kocha dzieci. Od śmierci Dave'a jest prawie jak ojciec dla Stuarta i Iana. – Orzechowe oczy Molly zabłysły. – Och, wciąż jeszcze czuję, że mogę ci się zwierzać, Liz! Tak, jakby te wszystkie lata nieobecności zupełnie nie miały znaczenia. To cudowne mieć obok siebie mężczyznę takiego, jak Matt. Kiedy zmarł Dave, myślałam, że już nigdy nikogo nie zechcę. Ale teraz...

– Cieszę się, Molly. – Liz ze zdumieniem usłyszała własne słowa.

– Kochanie, czy ty aby na pewno czujesz się dobrze? Strasznie zbladłaś! Och, jaka ze mnie egoistka. Bez przerwy gadam o sobie i o swoim szczęściu, a nawet nie zapytałam cię o twoje sprawy. Umieram z ciekawości! Czy ojciec dziecka przyjedzie do Tradition?

– Nie, Molly. Będę samotną matką.

– Och. – Molly gwałtownie zamrugła oczami.

– Widzisz, Colin nie chciał tego dziecka. Byliśmy ze sobą pięć lat i rozstaliśmy się w całkowitej zgodzie. Postanowiłam wrócić do domu i zacząć życie od nowa.

– Mam nadzieję, że wszystko się ułoży. – Molly raptownie wstała. – Liz, wyglądasz na zmęczoną. Już sobie pójdę, a ty się zdrzemnij. Śpisz każdego popołudnia? To bardzo ważne.

– O, tak. – Liz odprowadziła przyjaciółkę do drzwi. Już na progu, Molly odwróciła się i powiedziała lekkim tonem:

– Jakże się cieszę, że wróciłaś, Liz! Znowu będziemy przyjaciółkami, prawda? To miło ze strony Matta, że pozwolił ci się tu zatrzymać. Ale kiedy poczujesz się lepiej i wyprowadzisz się stąd, mam nadzieję, że znajdziesz jakieś lokum w pobliżu Laurel House. Będziemy mogły często się odwiedzać!

A więc Matt nie wspomniał Molly o okolicznościach pobytu Liz w Laurel House. Oczywiście, że nie, to byłby dla niej straszny szok. Równy temu, jaki odczuła teraz ona, Liz, uświadamiając sobie, że Molly planowała zamieszkać tutaj wkrótce z Mattem. Jako jego żona! Że też wcześniej nawet o tym nie pomyślała!

– Ojej! – Molly złapała się za głowę. – Omal nie zapomniałam, po co przyszłam! Chciałabym zaprosić cię na jutrzejszy obiad. Przyrządzę lasagne według nowego przepisu. No i poznałabyś wreszcie moich chłopców.

Liz nie miała najmniejszej ochoty odwiedzać Molly. Ale jak mogła odmówić, by nie zostać posądzoną o złą wolę i brak manier?

– Z przyjemnością przyjdę – odparła więc, siląc się na uśmiech. – O której godzinie?

– Może około piątej?

– Gdzie mieszkasz?

– Och, tym się nie martw. – Molly zaczęła iść w stronę samochodu. – Matt doskonale zna mój adres. W końcu spędza u mnie całe dni. Przyjedziecie razem.

Liz z desperacją patrzyła za odjeżdżającym samochodem. No tak. Obserwowanie jak Molly i Matt przymilają się do siebie, było ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła! Ale już za późno, żeby się wycofać. Obiecała.

Matt wrócił do domu tuż po czwartej. Dom wydał mu się dziwnie opustoszały. Przystanął na środku holu i zawołał głośno:

– Liz!

Już miał pobiec na górę, kiedy zobaczył, że drzwi na taras otwierają się. Liz weszła do salonu. Była ubrana w kremową, jedwabną tunikę i czarne, eleganckie spodnie. Jasne włosy spływały swobodnie na ramiona. Wyglądała zachwycająco.

– Cześć! – powiedział, z trudem dobywając głosu. – Już myślałem, że zasnęłaś.

– Przepraszam, nie usłyszałam samochodu. Byłam w ogrodzie.

– Wyglądasz cudownie.

– Dzięki. – Zarumieniła się i dodała z frustracją w głosie: – Nie wiedziałam, dokąd mnie zabierasz, ale pomyślałam, że chyba nie do McDonalda. Te spodnie to jedyny elegancki ciuch, w jaki jeszcze się mieszczę, ale i tak musiałam je zapiąć na agrafkę. Jeśli dzisiaj niczego nie kupię, to niedługo będę paradować po miasteczku w koszuli nocnej.

– W ten sposób ideał sięgnął bruku! – Roześmiał się serdecznie Matt.

Liz mu zawtórowała. Z przyjemnością zobaczył, że się rozluźnia.

– A więc... Gotowa?

Skinęła głową. Matt dotknął swojej kłującej brody.

– Daj mi minutę. Muszę się nieco odświeżyć.

Kiedy stał tak przed lustrem, goląc się i pogwizdując, przypomniał sobie, jak dawniej przygotowywał się na sekretne spotkania z Liz. Zawsze drżał z niecierpliwości, jednak golił się dokładnie, by przypadkiem nie zadrapać jej delikatnej skóry.

Z cynicznym uśmiechem przyjrzał się teraz swojej zniekształconej twarzy. Z pewnością nie należał do wymuskanych piękniśków. Jednak z jakichś niewyjaśnionych powodów, kobiety chyba wciąż uważały go za pociągającego. Oprócz tej jednej – tej, której pragnął! Powiedziała mu bez ogródek, jasno i dobitnie, że nie robi na niej najmniejszego wrażenia!

Jednak on nie ma zamiaru się poddać.

– Tylko nieustraszone męskie serce jest w stanie podbić kruche serce niewieście – powiedział do siebie głośno i wyszczerzył zęby. W ten sposób ukuł, na swój własny użytek, nowe porzekadło.

Postanowił, że odtąd będzie mu ono służyło jako przesłanie we wszystkich poczynaniach.

– Jak tu uroczo! – zawołała Liz, gdy Matt wjechał na żwirowany podjazd przed gospodą „Cedars Inn”, na obrzeżach Crestville.

Pobielony budynek, z błękitnymi okiennicami, położony był na wzgórzu. Ze wszystkich stron otaczał go ogród różany, zaś schodząc w dół po ścielącym się jak dywan trawniku, można było dojść nad urocze jezioro.

– Tak, rzeczywiście jest tu ładnie – ze skromną miną odparł Matt. – Jedzenie też dają niezłe.

Minęli maleńkie oczko wodne, na którego dnie lśniły monety – widocznie oczko spełniało życzenia.

Już mieli wejść do środka, kiedy z zewnątrz zaczął wychodzić niemały tłumek gości. Matt opiekuńczym gestem objął Liz i odciągnął ją lekko na bok. Stała tak, przytulona do niego, nie dłużej niż dwadzieścia sekund, lecz to

wystarczyło, by zaszumiało jej w głowie. Poczowała siłę jego muskularnego ramienia, ciepło jego ciała. Nagle zapragnęła odwzajemnić uścisk, otoczyć Matta ramieniem w pasie, wtulić nos w jego koszulę i wciągnąć w nozdrza ten męski, cudowny zapach, od którego kręciło się jej w głowie.

Jednak... Co by zrobiła, gdyby, obok tak dobrze już znajomego zapachu wody kolońskiej, wyczuła delikatną woń fiołkowych perfum? Nawet w samochodzie Matta dało się ją wyczuć.

Myśl ta ocuciła ją jak kubek zimnej wody. Pozwoliła sobie na chwilę słabości. Na krótką chwilę zapomniała nie tylko o przeszłości, ale i o tym, że przecież Matt zadeklarował się już innej kobiecie.

Radość z jego miłego towarzystwa nagle ulotniła się.

W chwili, gdy Matt ją puścił, zdecydowanym krokiem weszła do restauracji, postanawiając odtąd zachowywać fizyczny dystans między nimi.

Kelner usadowił ich przy oknie z widokiem na jezioro. Choć Liz wiele by oddała, by znaleźć się teraz w samotności swojego pokoju, postanowiła cieszyć się chwilą i obdarzyła Matta radosnym uśmiechem.

Rozmowa toczyła się gładko. Liz pytała o dawnych znajomych z Tradition, a Matt opowiadał o ich losach.

Jednak przy kawie Liz zauważyła, że nagle Matt stał się roztargniony, jakby coś go trapiło.

– Czy osoba, o której tak rozmyślasz, warta jest tej zmarszczki na czole? – spytała w końcu.

– Nie wiem, ale może ty mi powiesz?

Uniosła brwi w niemym pytaniu.

– Zastanawiałem się, kim byt ten mężczyzna, którego zostawiłaś w Nowym Jorku. I co do niego czujesz.

Zesztywniała, lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, Matt spytał bez ogródek:

– Kochasz go jeszcze?

– Matt, miłości nie można włączyć i wyłączyć na zawołanie – odparła Liz sarkastycznie.

– A więc kochasz go?

W tym momencie podszedł kelner.

– Czy dolać jeszcze państwu kawy?

– Ja dziękuję – odpowiedziała Liz.

– Poprosimy o rachunek – powiedział Matt, a kiedy kelner się oddalił, podjął: – Liz, posłuchaj...

– Matt, czas leci – przerwała mu. – Pora iść po zakupy. Wstąpię jeszcze tylko do toalety. – Szybko wstała.

– Uciekasz. – Matt też się podniósł.

– Nie, Matt. Mylisz mnie z Beth. Ja nigdzie nie uciekam. No dobrze. Owszem, nadal Kocham Colina. Prawdopodobnie zawsze będę go kochać. Byliśmy razem pięć lat i przeżyliśmy wspólnie wspaniałe chwile. Jest ojcem mojego dziecka. Jednak Colin zaprzepaścił to, co było między nami. Nie jestem w nim już zakochana. Między miłością a zakochaniem istnieje subtelna różnica. Colin okazał się inny, niż myślałam. Zresztą, to już nieważne. Zaczekaj na mnie na zewnątrz.

Z tymi słowami odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem przeszła przez salę. Kiedy dotarła wreszcie do toalety, z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Na szczęście była sama. Ciężko oparła się o umywalkę i spojrzała na swoje lustrzane odbicie.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że wygląda zupełnie spokojnie i elegancko. A przecież czuła się tak, jakby przez chwilę znalazła się w oku cyklonu!

Dlaczego powiedziała Mattowi, że nie jest już zakochana w Colinie? Dlaczego nie skłamała? Może gdyby myślał, że jej serce należy do innego

mężczyzny, przestałby na nią patrzeć tak, jakby była dla niego najdroższym skarbem na świecie?

Kiedy Liz wyszła z restauracji, zobaczyła Matta wpatzonego w oczko wodne.

Lekki wietrzyk rozwiał jej włosy. Wieczór był piękny i... tak podobny do tamtego czerwcowego wieczoru, kiedy poznali się z Mattem na koncercie w Elmoor Park. Na to gorzkosłodkie wspomnienie ścisnęło jej się serce. Byli tacy pewni, że są dla siebie stworzeni. Bratnie dusze. Dwie połówki jednej pomarańczy. Młodzi, naiwni, pełni radości życia, ufnie patrzący w przyszłość.

– Wrzuć tę monetę – Matt podał jej pieniążek – i pomyśl sobie życzenie.

Głos Malta jakby wyrwał ją ze snu.

Pomyślała, że nie ma sensu na nowo przeżywać przeszłości, poddawać się nostalgicznym wspomnieniom. To wszystko minęło i już nigdy nie powróci. Przecież przyjechała do Tradition, by zacząć życie od nowa, iść naprzód, a nie po to, by się cofać.

Ujęła w palce podaną przez Matta monetę. Na sekundę koniuszki ich palców zetknęły się i Liz lekko zadrżała. Jednak nic nie dała po sobie poznać. Podeszła do oczka, podniosła głowę i patrząc Mattowi w oczy, spytała pozornie lekkim tonem:

– A ty? Nie wrzucasz monety?

– Już wrzuciłem.

– I jakie miałeś życzenie?

– O, tego nie mogę ci powiedzieć. – Uśmiechnął się tym swoim leniwym uśmiechem. – Ale jeśli się spełni, z pewnością o tym się dowiesz.

Co miał na myśli? Może nie oświadczył się jeszcze Molly, ale kiedy to zrobi, Liz jako pierwszą poinformuje o tym radosnym wydarzeniu?

A więc... Czego ma sobie życzyć? Mogłaby prosić o miłość Malta. Ale przecież kiedyś udowodnił jej, że nie można mu ufać. A miłość bez zaufania nie ma żadnych szans. Nie ma prawa przetrwać próby czasu.

A nawet jeśli – jakimś cudem – znów mogłaby mu zaufać, jest już za późno. Matt należy do Molly. Molly wszędzie zostawiała swoje ślady: bieliznę w jego domu, zapach swoich perfum w jego samochodzie.

Liz odetchnęła głęboko i zdecydowanym gestem wrzuciła monetę.

Jej życzenie dotyczyło rzeczy najważniejszej na świecie: poprosiła los o zdrowe dziecko.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Liz umówiła się z Mattem za parę godzin i sama udała się do działu z odzieżą ciążową. Wybór był zaiste wspaniały.

Kiedy skończyła zakupy, przeszła do stoisk z artykułami dziecięcymi. Wybrała parę ślicznych śpioszków i właśnie podziwiała łóżeczko dziecięce, ozdobione postaciami z kreskówek Disneya, kiedy poczuła, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia. Podniosła wzrok i zobaczyła szeroko uśmiechniętego Matta.

– Cześć! Widziałem cię, kiedy mijalaś księgarnię. Pomyślałem, że może skończyłaś? – Zerknął na stos paczek. – Udane zakupy?

– O, tak. A ty znalazłeś coś ciekawego?

– Kupiłem parę książek. – Matt wskazał na kolorową torbę. Obrócił karuzelę przyczepioną do łóżeczka, a barwne zebry, żyrafy i lwy zaczęły radośnie podskakiwać. – Ale fajna! – Roześmiał się.

Liz spojrzała na jego śmiejącą się twarz i nagle uderzyła ją myśl, że właśnie taka scena powinna była mieć miejsce trzynaście lat temu. Razem powinni wybierać ubranka dziecięce, wózek i łóżeczko.

Myśl, że teraz Matt narzucał się jej – ponieważ, nieproszony – znowu dotkliwie ją zabolala. To dziecko, które teraz nosi w sobie, należy wyłącznie do niej. Nikomu, a szczególnie Mattowi nie pozwoli sobie w niczym pomagać. Sama da sobie radę!

– Skończyłaś robić sprawunki? – spytał Matt i znów potrząsnął karuzelą.

– Tak, tylko zapłacę – odparła, siląc się na spokój. Podeszła do kasy.

– Jakie śliczne śpioszki. Żółty to piękny kolor – mówiła kasjerka, pakując ubranka do pudełka. – Oczekuje pani chłopca, czy dziewczynki?

– Nie wiem i chyba nie będę chciała wiedzieć. Dlatego planuję urządzić wszystko w żółci i bieli. To neutralne kolory. – Liz odebrała kartę.

Nagle spostrzegła, że za jej plecami Matt podaje kasjerce barwne pudełko. Była to karuzela na łóżeczko, którą wcześniej razem podziwiali. Liz zmarszczyła brwi. Widząc to, Matt rozłożył bezradnie ręce.

– Nie mogłem się powstrzymać.

– To dla mnie? – spytała szorstko.

– Nie dla ciebie, tylko dla dziecka. – Uśmiechnął się rozbajająco.

Już miała krzyknąć: „Nie będziesz niczego kupował mojemu dziecku!”, lecz w ostatniej chwili powstrzymała się. Nie chciała być niewdzięczna, w końcu Matt starał się być miły.

– To niepotrzebne, przecież już zaprosiłeś mnie na pyszny obiad – powiedziała tylko.

– To była dla mnie przyjemność.

Zebrali wszystkie paczki i udali się do samochodu. Matt rzucił je na tylne siedzenie.

Kiedy wyjeżdżali z parkingu, zapytał:

– Jesteś bardzo zmęczona?

– W ciąży to normalne. Szczególnie wieczorami.

– Jutro będziesz mogła wypocząć w niezmaconym spokoju. Wieczorem wychodzę.

– Wiem, do Molly.

Rzucił jej pytające spojrzenie.

– Ja też jestem zaproszona – wyjaśniła. – Kiedy przyjąłem zaproszenie, nie wiedziałam, że i ty tam będziesz – dodała czym prędzej.

Na twarzy Matta odbił się gniew. Najwyraźniej nie życzył sobie, by Liz uczestniczyła w ich spotkaniach. Zabolalo ją to. Cóż, przecież wcale nie pragnęła tej wizyty bardziej niż on.

– Przykro mi – powiedziała sztywno. – Gdybym wiedziała, że ty też jesteś zaproszony...

– To nie twoja wina – przerwał jej rozdrażniony. – Po prostu cała rodzina niedawno przechodziła grypę... Poza tym chciałem porozmawiać z Molly o czymś ważnym.

– Zadzwoń do niej – odparła szybko. – Wymyślę jakąś wymówkę.

– Nie, nie. Ta rozmowa może poczekać. Zapomnijmy o tym. Pojedziemy tam jutro razem. Będziesz się dobrze bawić, zobaczysz. No i poznasz Iana i Stuarta. To wspaniali chłopcy. Kocham ich jak własne dzieci.

Jak własne dzieci! Nagle Liz zalała fala smutku. Ile ich dziecko miałoby teraz lat? Dokładnie dwanaście. Córeczka

– tyle powiedzieli jej lekarze. Ani jeden dzień nie minął, by nie pomyślała o swoim nienarodzonym dziecku. Wówczas, gdy ta tragedia miała miejsce, sądziła, że nigdy tego nie przeżyje, że nic nie wypełni tej pustki, którą czuła w sobie. Lecz teraz znów oczekuje dziecka. I tym razem wszystko będzie dobrze.

Matt również popadł w zadumę, a ona nie zamierzała przerywać jego milczenia.

Podjechali pod dom. Matt pomógł Liz wysiąść i zebrał pakunki.

– Jak się czujesz? – spytał troskliwie.

– Chyba się położę.

Matt zaniósł więc paczki na górę i zapytał tylko:

– Przynieść ci coś do łóżka? Może kubek kakao, ciasteczka?

Zdała sobie sprawę, że ich rozmowa brzmi, jakby byli starym małżeństwem. Jednak, kiedy spojrzała na Matta, musiała przyznać, że wygląda

niezwykle seksownie. Powinien raczej wskoczyć do jej łóżka, zamiast proponować kakao i ciasteczka!

– Nie, dzięki. Jestem bardzo zmęczona, czuję, że zasnę w oka mgnieniu. Dobranoc!

Jednak okazało się to wcale nie takie proste. Odkryła bowiem, że przez omyłkę Matt zostawił u niej swoją torbę z książkami. Nie mogła oprzeć się ciekawości. Co zawadzi sprawdzić, jaką literaturę preferuje Matt? Zajrzała do środka. W torbie znajdowały się trzy książki. Ostatnia powieść Grishama i... Liz wstrzymała oddech. Nie wierzyła własnym oczom. W rękach trzymała dwie książki: „Podręcznik dla przyszłej mamy” oraz „Podręcznik dla przyszłego taty"! Była zbulwersowana.

Poczuła, jak zalewa ją fala niechęci, a zaraz potem bezgranicznej wściekłości. Nie dość, że Matt ośmielił się jej kupić książkę, to jeszcze sam postanowił, podstępnie i samowolnie, wcielić się w rolę ojca! No nie, to po prostu... Brakowało jej słów, by nazwać po imieniu tego typu działania!

Narzuciła szlafrok, chwyciła torbę i jak burza wybiegła z pokoju.

Matt właśnie przeszukiwał przedpokój w nadziei, że znajdzie swoją torbę z książkami. Zajrzał nawet do szafki na buty, choć zdawał sobie sprawę z bezsensowności tych poczynań. Wtem rozległ się huk, a chwilę potem na dole pojawiła się Liz. W różowym szlafroczku, z zaróżowionymi policzkami i z jego torbą w wyciągniętej dłoni.

– Tego szukasz? – spytała gniewnie. – Przyniosłam ci, w razie gdybyś chciał przed snem poczytać Grishama.

Tak, Grisham to nie problem, lecz „Podręcznik dla przyszłej mamy"... A już zupełnie nie wiedział, jak wytłumaczyć zakup trzeciej książki.

– Dzięki – powiedział. Wziął torbę, lecz nawet z tej odległości wyczuł wrogość Liz. – Rzeczywiście zamierzałem poczytać Grishama.

Odwróciła się na pięcie i sztywno zaczęła wchodzić po schodach.

– Zaczekaj chwilę! – zawołał. Stała, lecz nie odwróciła się od razu.

– To dla ciebie. – Odchrząknął i wyjął z torby „Podręcznik dla przyszłej mamy”.

Policzki Liz pobrały.

– A tamta druga książka? Kupiłeś ją dla siebie? – zapytała zjadliwie.

– Nno tak, myślałem... – Matt jękał się nieporadnie.

– Myślałeś, że będziemy siedzieć razem na kanapie i przygotowywać się na przyjście dzidziusia? – Sarkazm w jej głosie mieszał się teraz z niedowierzaniem.

– Nie, wcale nie. Nie sądziłem, że znajdziesz tę książkę. Chciałem sam ją przestudiować, żeby wiedzieć, czego się spodziewać i jak mogę ci pomóc. Nie chciałem, żebyś przechodziła przez to wszystko sama.

Nagle gniew ją opuścił. Poczula się wyczerpana.

– Matt – powiedziała cicho. – Ja przejdę przez to sama. Tak postanowiłam i nie zmienię decyzji. Więc najlepiej zrobisz, jeśli oddasz tę książkę do księgarni. Szkoda twoich pieniędzy.

– Może więc przyjmiesz chociaż tę książkę? – Wyciągnął dłoń z „Podręcznikiem dla przyszłej mamy”. – Chyba że masz już wystarczającą ilość poradników.

– Nie, nie mam jeszcze ani jednego – odparła niechętnie.

– A zatem potraktuj to jako prezent.

Westchnęła ciężko.

– Matt, musisz przestać wydawać na mnie pieniądze.

– Proszę.

– No, dobrze. – Wzięła od niego książkę i niespodziewanie się uśmiechnęła. – Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

Poczuł się tak, jakby to ona go obdarowywała. Uśmiech Liz był dla niego najcenniejszym prezentem na świecie.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się już na mnie? – Odwzajemnił jej uśmiech.

– Nie, nie gniewam się. Dobranoc, Matt.

Patrzył za nią. Jej włosy opadały jasną, miękką zasłoną na plecy. Po chwili Liz znikła na piętrze. Słyszał jeszcze, jak po cichu zamyka za sobą drzwi sypialni.

Poszedł do swojego gabinetu i zasiadł wygodnie w ulubionym fotelu obrotowym, z nogami opartymi o blat biurka. Wyjął z torby „Podręcznik dla przyszłego taty” i zabrał się do czytania.

W nocy padał deszcz i rano powietrze było świeże i wilgotne.

Matt wrócił z porannego biegania i zastał Liz ścinającą białe róże z pnącego krzaka na tyłach domu.

– Cześć! – przywitał ją, ciężko łapiąc oddech. – Piękny dzisiaj dzień, prawda?

– Piękny. – Przysłoniła dłonią oczy przed słońcem i spojrzała na niego. – Codziennie biegasz?

– Tak, regularnie jak w zegarku. A ty?

– Wolę spacerować.

– Nie zauważyłem, żebyś zbyt często chodziła tutaj na spacer.

– To prawda. Rano mam mdłości, a po południu jest za gorąco. Szkoda, bo powinnam spacerować.

No tak, właśnie tego dowiedział się ze swojej nowej lektury.

– Najlepiej by było, gdybyś wychodziła wczesnym wieczorem, kiedy się już ochłodzi.

– Pewnie tak.

– Wiesz co? Mam pomysł. Zaczniemy razem chodzić na popołudniowe spacer. Ostatnio mam dużo pracy i ciągle jestem zestresowany. Spacer. Dobrze by mi zrobiły.

– Dzisiejszy wieczór nie wchodzi w rachubę. – Liz ścięła ostatnią różyczkę i ruszyła w stronę wejścia. – Idziemy do Molly.

– To żaden problem. – Matt otworzył przed nią drzwi. – Po obiedzie możemy wziąć dzieci do parku. My z Molly zawsze tak robimy.

Liz ułożyła róże w kryształowym wazonie.

„My z Molly zawsze tak robimy”. Te słowa, tak naturalne i rzucone jakby od niechcienia, wciąż dzwoniły jej w uszach. Czowała jakiś dziwny żal i ból, a przy tym była o to na siebie wściekła. Przecież wcale nie chciała być z Mattem, nic jej nie obchodził! A jednak nie mogła przestać o nim myśleć. Och, jakie to wszystko jest zagmatwane. Od kiedy znowu go zobaczyła, nie potrafiła uporządkować swoich myśli, przeanalizować uczuć. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że jeśli wyjdzie kiedyś za mąż, może nauczy się wreszcie patrzeć na Matta bez emocji, bez tego przemożnego pragnienia, by znaleźć się w jego ramionach. Gdyby chociaż nie robił takich żalonych min. Jakby wyrywano mu serce, jakby i on pragnął pochwycić ją w ramiona.

Podczas jazdy do Molly Liz czuła, że Matt jest w złym nastroju. Ukradkiem na niego spojrzała. Patrzył przed siebie nieobecny, ponurym wzrokiem.

Od powrotu z pracy powiedział do niej chyba nie więcej niż pięć słów.

– Przepraszam za spóźnienie. Miałem koszmar. Dzień w pracy. Daj mi minutę. – I pobiegł na górę.

Po chwili był na dole, ogolony, odświeżony, w nieskazitelnie białej koszuli i spodniach khaki. Jednak na jego twarzy wciąż malował się wyraz niezadowolenia.

– Gotowa? – spytał szorstko i nie czekając na odpowiedź, pomaszerował do samochodu. Zamaszystym ruchem otworzył drzwiczki przed Liz.

Podczas jazdy nie odezwał się ani słowem. Dopiero kiedy zaparkował przed pobielonym domkiem, powiedział jakby od niechcenia:

– Jesteśmy na miejscu.

– Widzę, że humor ci dzisiaj dopisuje – nie mogła się powstrzymać Liz.

Już miał otworzyć drzwiczki, lecz cofnął dłoń.

– Słucham?

Wytrzymała jego chłodne spojrzenie.

– Wiem, że moja obecność tutaj nie jest ci na rękę. Nie mógłbyś dać mi tego do zrozumienia w bardziej oczywisty sposób. Wiedz jednak, że i ja nie tryskam dobrym humorem. Zabawa w przyzwoitkę nie należy do moich ulubionych rozrywek.

– W przyzwoitkę?! – wykrzyknął Matt szczerze zdumiony. – O czym ty mówisz?

Poczuła, że jej gniew topnieje. Zawsze tak się działo pod wpływem spojrzenia Matta. Och, chyba nigdy bardziej go nie pragnęła niż teraz!

– Wiem, że ty i Molly... – urwała.

– Ja i Molly co?

Odwróciła się od niego i zaczęła szukać po omacku klamki.

– Że macie się pobrać – wyjąkała. Czowała, że jeszcze chwila i się rozpłacze. Gdzie się podziała ta klamka?!

Nagle Matt złapał ją za nadgarstek. Liz wstrzymała oddech, z wysiłkiem odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Malowała się w nich ledwie powstrzymana wściekłość. Oczywiście – gniewał się na nią. Ona też była na siebie zła. Nie wykazała się wielką delikatnością i dyskrecją. Co prawda Molly sugerowała, że zamierzają być z Mattem razem, zaręczyny jednak nie zostały

jeszcze formalnie ogłoszone. Być może Matt w ogóle jej się jeszcze nie oświadczył? A jeśli miał zamiar dzisiaj to zrobić –jak wywnioskowała z jego słów – to pokrzyżowała jego plany. Będzie się czuła w ich towarzystwie jak piąte koło u wozu.

– Matt, ja... – urwała w pół słowa, gdyż nagle drzwi zostały gwałtownie otwarte i usłyszeli radosne:

– Cześć, kochani! Nie mogliśmy się już was doczekać!

Matt odskoczył od Liz jak oparzony. Natomiast Liz z trudem udało się odwzajemnić życzliwy uśmiech Molly. Wysiadła z samochodu i natychmiast wpadła w miękkie objęcia przyjaciółki.

– Przepraszamy za spóźnienie – powiedział Matt, obchodząc, samochód. – Musiałem dłużej zostać w biurze.

– Nie ma najmniejszego problemu – szczebiotała Molly. Wspięła się na palce i złożyła na policzku Matta głośny pocałunek. – Najważniejsze, że wreszcie jesteście.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i na ich spotkanie wybiegli chłopcy. Rzucili się na Matta z impetem.

– Wujku! Wujku! Dzisiaj wygrałem w szachy z moim nauczycielem! – chwalił się Ian.

– A ja na strzelnicy wygrałem kij do baseballa! – wołał Stuart.

– Super! Ale z was zuchy! – zaśmiał się Matt. – Chłopcy, przywitajcie się z panią Rossiter.

– Liz – sprostowała.

Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy, lecz już po paru minutach chłopcy ośmielili się na tyle, by porwać Liz na górę i pochwalić się swoimi pokojami. Wnętrza były słoneczne i wesołe. Ian zaprezentował Liz chomika, a Stuart – kota.

– Chłopcy! Myjcie ręce! Siadamy do obiadu – dobiegł ich z kuchni głos Molly.

Dzieci pomaszzerowały do łazienki, a Liz zeszła na dół. Stała na progu kuchni. Molly wyjmowała właśnie z piekarnika lasagne, zaś Matt stał oparty o lodówkę, z puszką piwa w ręce. Miał dziwny wyraz twarzy – gniew zmieszany z rozpaczą? Nagle spostrzegł Liz i spróbował się beztrząsco uśmiechnąć, jednak z opłakanym skutkiem.

– Liz! Czego się napijesz?

– Może soku?

– W lodówce jest sok żurawinowy – odezwała się radośnie Molly, stawiając jedzenie na stole. – Usiądź, Liz.

– Podsunęła przyjaciółce krzesło.

Matt najwyraźniej czuł się tu jak w domu. Jednocześnie Liz była pewna, że coś go trapi. Ale co?

Chyba nie gniewał się na nią. I najwyraźniej nie miał nic przeciwko jej obecności tutaj. Kiedy stawiał przed nią szklanekę z sokiem, lekko dotknął jej ramienia i pogłaskał je uspokajającym gestem. Czyżby chciał jej dodać otuchy? Ale dlaczego? O co w tym wszystkim chodzi? Chyba nie pokłócili się z Molly?

Matt wiele dałby za to, by móc wszystko wytłumaczyć Liz. Niestety była ostatnią osobą, której mógłby zwierzyć się z kłopotów osobistych. Przynajmniej na razie.

Miał nadzieję, że nikt nie zauważył jego zdenerwowania i roztargnienia. Robił wszystko, by skoncentrować się na jedzeniu i konwersacji przy stole. Jednak starania na niewiele się zdały, gdyż potrafił myśleć jedynie o rozmowie, którą przez przypadek podsłuchał w pracy.

Był umówiony z klientem na lunch, lecz w ostatniej chwili spotkanie zostało odwołane. Matt postanowił więc popracować dłużej w biurze. Właśnie

otworzył drzwi gabinetu, by poprosić o coś Franny, kiedy usłyszał jej podekscytowany głos. Rozmawiała z kimś przez telefon i Matt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie fakt, że usłyszał swoje imię, poprzedzone chichotem sekretarki.

– Dzieci też kochają Matta jak ojca. Będziemy mieli wesele, zobaczysz, wspomnisz moje słowa! Molly jest taka szczęśliwa! Tylko nikomu ani mru, mru! Wiesz, Matt tak naprawdę jeszcze się nie oświadczył, ale z pewnością wkrótce to zrobi. Molly mówi, że jest strasznie nieśmiały i że pewnie czeka na właściwy moment.

Matt stał jak sparaliżowany. Wprost nie wierzył własnym uszom.

Usłyszał jeszcze, jak Franny pakuje rzeczy i wychodzi z biura. Zapanowała całkowita cisza.

A więc Molly czekała, aż jej się oświadczy! Skąd ten pomysł przyszedł jej w ogóle do głowy? I ilu osobom zdążyła już o tym opowiedzieć? Uwierzyły w to Franny i Liz. Należało się zatem spodziewać, że całe miasto znało jego zamiary! Tylko on jeden nie miał o niczym zielonego pojęcia!

Westchnął ciężko. Planował porozmawiać z Molly dziś wieczorem, zanim okazało się, że Liz też będzie na obiedzie. A nawet jeśli raz na zawsze wyjaśni tę horrendalną pomyłkę, to i tak Molly uzna, iż właśnie powrót Liz wpłynął na jego decyzję. Choć było to oczywiście jak najdalej od prawdy.

– Matt? – usłyszał zatroskany głos Molly. – Strasznie ciężko wzdychasz. Coś się stało?

Zamrugnął oczami. Wszyscy na niego patrzyli. Roześmiał się z przymusem.

– Przepraszam. Ciągle myślę o pracy. Postaram się poprawić!

Tak też zrobił. Włączył się do ożywionej dyskusji przy stole. Potem zagrał z chłopcami w piłkę. A na koniec zabrał Molly i Liz na spacer do parku.

Wrócili do domu Molly około dziewiątej. Kiedy Liz znikła w toalecie, Matt powiedział do Molly stanowczo:

– Zabiorę już Liz do domu. Wygląda na wykończoną.

– Tak wcześnie? – Na twarzy Molly odmalowało się nieskrywane rozczarowanie.

Widząc to, Matt uświadomił sobie, że przede wszystkim musi wyjaśnić sprawy z Molly, i im wcześniej to zrobi, tym lepiej.

– Tak. Ale chciałbym z tobą porozmawiać na osobności. Czy mogę wrócić jeszcze dziś wieczorem, kiedy położysz chłopców spać?

Molly natychmiast rozpromieniła się.

– Och, oczywiście. Położę ich do łóżek za jakieś pół godziny. O której będziesz?

– Około dziesiątej?

Jej oczy zabłyszczały. Szepnęła:

– Możemy usiąść na tarasie. Jest taki piękny wieczór. I w dodatku pełnia księżycy. – Wspięła się na palce i pieszczotliwie dotknęła jego policzka. – Czekam na ciebie.

Akurat w tym momencie Liz pojawiła się w drzwiach kuchni. Wyglądała blado.

Matt stał zakłopotany. Czym prędzej przerwał niezręczną ciszę.

– Liz, musisz być nieludzko zmęczona. Zabiorę cię do domu.

– Przepraszam, ale chyba nie jestem najlepszym kompanem. Rzeczywiście, chciałabym już wracać.

W drodze powrotnej Liz milczała, a Matt, zaabsorbowany mającą wkrótce nastąpić rozmową z Molly, pogrążony był we własnych myślach.

Już w domu Liz ponownie przeprosiła za tak wczesne zakończenie wizyty.

- Nic się nie stało. Zresztą i tak muszę tam jeszcze wrócić.
- A więc do zobaczenia rano.
- Dobranoc – odpowiedział cicho.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nazajutrz rano Liz zastała Matta w kuchni.

Powitała go radosnym „cześć” i podeszła do otwartych drzwi balkonowych. Niebo było lazuruowe, a krzak pnących białych różyczek obdarował ją niebiańskim zapachem, od którego kręciło się w głowie.

– Kolejny piękny dzień – powiedziała z zachwytem.

Matt postawił na stole czajniczek świeżo zaparzonej herbaty i talerz tostów.

Właśnie wrócił z porannego joggingu. Wyglądał bardzo pociągająco z mokrymi po wzięciu natrysku włosami i lekką opalenizną. Jednak rysy jego twarzy były ściągnięte i chmurne.

– Usiądź. Może zjesz jajko na miękko?

– Nie, dzięki. Nie jestem głodna. Pewnie wczoraj zjadłam za dużo. Molly jest świetną kucharką. – Po chwili dodała od niechcienia: – Nie słyszałam, kiedy wróciłeś. Zostałeś do późna?

– Nie – odpowiedział sucho. Najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać.

Liz taktownie zmieniła temat.

– Pamiętasz, że jestem dzisiaj umówiona na wizytę u lekarza? O dziesiątej trzydzieści.

– Pamiętam.

– Idziesz przedtem do pracy?

– Nie. Mam tu parę rzeczy do zrobienia – odparł ponuro i zamilkł.

Liz stwierdziła, że Matt jest znów nie w sosie, postanowiła więc mu nie przeszkadzać. Kiedy szła na górę, zawołał:

– Będę na tyłach domu. Gdybym nie wrócił do dziesiątej, zawołaj mnie, dobrze?!

Liz usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać, czy może między nim a Molly coś jest nie w porządku. Przecież Matt nigdy wcześniej nie miał zmiennych nastrojów.

Nagle usłyszała jakiś łomot. Wyrzała przez okno i zobaczyła, że Matt jak szalony wymachuje siekierą i z przerażającą wręcz regularnością z całej siły wali w kłody drewna, pastwiąc się nad nimi bezlitośnie. Przyglądała mu się przez kilka minut jak zahipnotyzowana, lecz w końcu odeszła od okna. Przykro jej było patrzeć na jego wewnętrzną udrękę i szamotaninę. Pomyślała jednak, że jego życie osobiste nie powinno jej obchodzić.

Matt jak szaleniec rąbał drewno aż do dziesiątej. Liz już ani razu nie wyrzała przez okno.

– Wszystko jest w porządku – stwierdził doktor Black po dokładnym zbadaniu Liz. – Lepiej się pani czuje? Dbała pani o siebie?

– O, tak. Matt traktuje mnie jak inwalidkę. – Liz roześmiała się na głos. – Nawet nie pozwala mi prowadzić samochodu.

– Jeśli może pani nadal zachowywać się jak rozpieszczona księżniczka, radziłbym korzystać z okazji. Jednak nie widzę przeszkód, jeśli chodzi o samodzielne prowadzenie samochodu. Pod warunkiem, że nie porwie się pani na kolejną wyprawę przez cały kontynent.

Liz wstała.

– Wiem, że wtedy przesadziłam. Jednak nie miałam serca zostawić mojego autka w Nowym Jorku. Mam do niego stosunek emocjonalny. Należało do Melissy i spędziłyśmy w nim wiele wspaniałych chwil.

– Rozumiem. Proszę umówić się w recepcji na wizytę za dwa tygodnie. I proszę nadal o siebie dbać.

Liz wyszła z kliniki. Na zewnątrz panował potworny upał. Miała spotkać się z Mattem u niego w biurze. Kiedy przechodziła obok kwaciarni, jej wzrok

przyciągnął piękny, okazały krzak kwitnącej róży. Kupiła go i postanowiła poprosić Matta, by odebrał go w drodze do domu.

Wchodząc do biura, uśmiechnęła się do sekretarki, lecz ta spojrzała na nią z wyraźną niechęcią i odwróciła głowę.

Oho! Wszyscy pokazują dzisiaj swoje humory – pomyślała Liz.

Gdy weszła do gabinetu Matta, okazało się, że i tu atmosfera daleka jest od przyjemnej. Matt wstał zza biurka i zapytał z wymuszonym uśmiechem:

– No i jak tam? Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję. – Pomyślała, że wszyscy są na nią wściekli, ponieważ przeszkadza im w pracy, dodała więc czym prędzej: – Matt, przepraszam, że zabrałam ci tyle czasu. Już idę.

– Liz, wierz mi, że twój widok, to jedyna miła rzecz, która mi się dzisiaj przydarzyła. – Matt chwycił ją za łokieć i bezceremonialnie skierował ku drzwiom. – Idziemy stąd.

Liz musiała niemał biec, by dotrzymać mu kroku. O co w tym wszystkim chodzi? Czy cały świat zwariował?

– Franny, wróć dopiero po lunchu. Dzwon na komórkę, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Sekretarka rzuciła Mattowi przelotne spojrzenie. Liz zmartwiała, gdyż wzrok Franny był jeszcze bardziej nieprzyjazny niż chwilę wcześniej.

– Zrozumiałam – powiedziała sekretarka lodowatym tonem i czym prędzej utkwiała wzrok w stosie papierów.

Matt zaklął cicho pod nosem.

Zacisnął jeszcze mocniej palce na ramieniu Liz i wyprowadził ją na ulicę.

Kiedy mijali kwiaciarnię, Liz przypomniała sobie o swoim zakupie.

– Matt, kupiłam kwiaty dla twojej mamy, w podziękowaniu za jej życzliwość. Czy mógłbyś kiedyś przy okazji odebrać je i zawieźć do Naomi?

– Oczywiście. Mama wyjechała na weekend. – Nagle zmienił kierunek. –
Właściwie równie dobrze możemy go zabrać teraz.

Postawili roślinę przy tylnym siedzeniu na podłodze. Jechali kilka minut Main Street, potem Fifth Avenue, aż skręcili w wąską uliczkę wysadzaną drzewkami owocowymi.

– A więc twoja mama ciągle jeszcze tu mieszka? – spytała Liz, kiedy zaparkowali przed ślicznym małym parterowym domkiem, otoczonym pięknie zadbanym ogródkiem, pełnym kwitnących kwiatów.

– Tak, ale teraz ten dom należy do niej. Już nie musi go wynajmować.

– Pamiętam, że ty też lubiłeś tu mieszkać. Mówiłeś, że twoja mama potrafi stworzyć prawdziwy dom wszędzie, nawet w szafasie.

– Tak, to prawda – odparł Matt.

Liz wydawało się, że ciągle jest nieobecny myślami.

– Matt! Przepraszam, chyba tylko zabieram ci czas – zawołała zirytowana. – Może wezwę taksówkę i pojedę do domu?

– Wcale nie zabierasz mi czasu. I tak planowałem zjeść z tobą lunch. Zresztą, musimy koniecznie o czymś porozmawiać.

– A więc jednak coś się stało? Sekretarka była dzisiaj dla mnie bardzo niemila.

Matt zdusił cisnące się na usta przekleństwo.

– Dla mnie też. Liz, nawet nie wyobrażasz sobie, jak wszystko się pogmatwało. – Z niechęcią pokręcił głową.

– Chodźmy do środka. Porozmawiamy w ogrodzie.

Z trudem pokonując niecierpliwość, Liz weszła za Mattem do domu. Postawili różę w prześlicznie urządzonym saloniku, tuż przy oknie.

– Czy Naomi nie miałyby nic przeciwko mojej wizycie podczas jej nieobecności? – spytała niespokojnie Liz.

– Skąd! Będzie jej przykro, że nie mogła się z tobą zobaczyć. Napijesz się herbaty?

– Nie, dziękuję.

Liz rozejrzała się po pokoju. Jej uwagę przykuła gablotka obok kominka, pełna trofeów z meczy bokserskich. Przyglądała się im z podziwem.

– Ależ ich tu jest! Nie wiedziałam, że odniosłeś tak wiele sukcesów!

– To nic takiego. – Matt niedbale machnął ręką. – Liz, chodźmy do ogrodu.

Przypomniała sobie, że zerwał z boksem po walce o jakąś piękną kobietę. Z pewnością Matt nie odpowie na żadne pytania na ten temat, ale może warto zagadnąć Naomi. Tak zrobię, postanowiła natychmiast.

Wyszła za Mattem do ogrodu na tyłach domu. Kiedy minęli kilka jabłoni, jej oczom ukazał się basen.

– Matt! Nigdy nie wspominałeś, że macie tu basen!

– Bo nie mieliśmy. Dopiero kilka lat temu poprzedni właściciel zbudował go dla swojej żony.

– Ale kusząco wygląda. – Liz czuła, jak bawełniana sukienka przykleja jej się do pleców. – Straszny dzisiaj upał.

– Może wskoczmy na chwilę do wody?

Spojrzała na niego zdumiona.

– O, nie. Nie mam...

– Na pewno coś znajdziemy w szafie mojej mamy.

– Matt, chyba nie.

– Chodź, ochłódzimy się trochę. Dobrze nam to zrobi.

– Myślałam, że chcesz ze mną porozmawiać?

– To może poczekać.

Spojrzała na jego zmęczoną twarz, podkrążone oczy. Chciała wygładzić te zmarszczki, scałować smutek z jego oczu. Wiedziała jednak, że byłby to niewybaczalny błąd.

– OK. Jeśli znajdziesz dla mnie kostium.

Wrócił po kilku minutach, w samych kąpielówkach.

– Proszę. – Podał jej żółty kostium dwuczęściowy. –W tym powinnaś wyglądać przyzwoicie.

„Przyzwoicie” – to słowo z pewnością nie oddawało jej wyglądu. Cięża sprawiła, że biust Liz stał się pełniejszy, a biodra nieco się zaokrągliły. Postanowiła zarzucić na ramiona ręcznik.

Liz wskoczyła do wody, gdy Matt już pokonywał kolejną długość basenu. Zaczęła pływać, całkowicie zapominając o wszelkich rozterkach i kłopotach, z rozkoszą poddając się wodzie i słońcu. Kiedy zatrzymała się na chwilę przy krawędzi. Matt podpłynął tuż obok. Jego dłoń niemal dotykała jej dłoni.

Uśmiechnął się szeroko. W słońcu błysnęła olśniewająca biel jego zębów, jasna zieleń oczu. Liz poczuła się nieswojo. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że wciąż jest podatna na urok Matta.

– Jak tam? Jak ci się pływało? – spytał.

Włosy przylepiły mu się do czoła, strużki wody spływały wzdłuż krzywego nosa, wargi i dalej, po brodzie.

– Było cudownie – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. Miała nadzieję, że Matt przypisze to nadmiernemu wysiłkowi.

– To dziwne, pływam tu od lat, a jeszcze nigdy nie było tak wspaniale jak teraz.

Czyżby z nią flirtował? A może tylko tak się przekomarza? Nie, przecież zawsze czuli do siebie ogromny pociąg fizyczny. Liz postanowiła rozluźnić atmosferę.

– Może nigdy wcześniej nie byłeś aż tak przemęczony? – powiedziała lekkim tonem. – No i ten upał. Woda wydaje się wtedy jeszcze cudowniejsza niż zazwyczaj.

– Być może. chyba jednak chodzi o coś więcej. Najwyraźniej to towarzystwo najpiękniejszej kobiety na świecie sprawia, że czuję się jak w niebie.

– Ach, ci mężczyźni! Niewierni i jakże zmienni!

– Nie rozumiem?

– Czyż nie powiedziałeś mi niedawno, że w spadku po walce o najpiękniejszą kobietę na świecie dostałeś to. – Pieszczotliwie dotknęła jego złamanego nosa. – I to! – Pogłaskała go po policzku. – I to. – Delikatnie dotknęła jego górnej wargi i już miała cofnąć rękę, kiedy chwycił ją za nadgarstek.

Zobaczyła, że rozbawienie w jego oczach ustępuje miejsca złości.

– Nie życzę sobie, by nazywano mnie niewiernym i zmiennym, Liz!

– Więc musisz ostrożniej dobierać słowa, którymi tak hojnie szafujesz. Nie istnieją dwie najpiękniejsze kobiety na świecie! – Spojrzała na niego wyzywająco. – Chyba że dla ciebie.

– Nie, Liz, nie istnieją – odparł chłodno. – Zawsze ty, ty jedna, byłaś i jesteś dla mnie najpiękniejsza na świecie. Kobieta, o której ci opowiadałem, to właśnie ty.

– Matt, ja...

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać. – Zaklął cicho. Powiedział za dużo, popełnił niewybaczalny błąd. Wszystko przez tę dumę. Nie mógł znieść tego, że Liz nazwała go zmiennym i niewiernym. A on nigdy jej nie zdradził!

Wyrwała mu rękę.

– Teraz musisz mi wszystko powiedzieć. Nie możesz tego tak po prostu zostawić. Z kim o mnie walczyłeś?

– To należy do przeszłości, Liz. Ja chcę porozmawiać o teraźniejszości. – Matt wsparł ręce o brzeg basenu, podciągnął się i wyskoczył. Schylił się, by podać dłoń Liz. – Chodź, porozmawiamy.

Ona jednak pokręciła głową i odpłynęła na drugi koniec basenu. Wyszła po drabince, chwyciła swój ręcznik i zaczęła suszyć włosy.

Podszedł do niej. I to ma być przyzwoity wygląd? Poczuł, że ogarnia go pożądanie i postanowił czym prędzej się wycofać, zanim nie będzie za późno.

Minał ją pośpiesznie i tylko rzucił przez ramię:

– Zaraz wracam. Napijesz się czegoś?

– Poproszę wodę z lodem.

Kiedy wrócił, Liz okryła się nieco ręcznikiem. Pakowała swoją kosmetyczkę do torebki. Jej mokre włosy niby dwie jasne kurtyny sięgały piersi. Wyglądała krucho i delikatnie. Tylko oczy, które spojrzały na niego baczenie, były oczami silnej, doświadczonej kobiety. Podał jej szklanekę wody z lodem.

– Dziękuję. – Upiła kilka łyków.

– Usiądźmy na tamtej ławce pod jabłónką. Będzie chłodniej.

Strzepnął z ławeczki kilka uschniętych liści i gestem zachęcił Liz, by usiadła. Sam jednak wolał stać, pomagało mu to zebrać myśli.

W milczeniu czekała, aż Matt zacznie mówić. Właśnie to zawsze u niej lubił – umiała milczeć. I czekać. Miała w sobie spokój i ciszę.

– Teraz, kiedy nareszcie mogę ci o tym wszystkim opowiedzieć, nie mam pojęcia, od czego zacząć – stwierdził z rozbrajającą szczerością. Zamilkł i wyglądało na to, że nie wykrztusi już ani jednego słowa.

– Może od końca – poradziła Liz.

– Może to nie jest zły pomysł. – Matt wziął głęboki oddech. – Molly nie chce mnie więcej widzieć.

– Widziałam, jaki ostatnio byłeś przybity. Czy tego nie da się naprawić?
Wiem, że Molly za tobą szaleje.

– Chyba zaczynanie od końca na niewiele się zda w tym przypadku. Może zacznę od początku.

Matt opowiedział Liz o obietnicy danej Dave'owi.

– Nie zauważyłem momentu, kiedy Molly zobaczyła we mnie kogoś więcej niż przyjaciela. Źle odczytała moje intencje. Myślała, że jestem w niej zakochany i że chcę się jej oświadczyć. Powiedziała o tym kilku osobom. Postanowiłem wyjaśnić tę sprawę. Dlatego wróciłem do niej wczoraj w nocy.

– I powiedziałaś jej...

– ... że zawsze będzie moją przyjaciółką. Nikim więcej. Nie wyobrażasz sobie, jak gwałtownie zareagowała. Wpadła w histerię, rozpacz. To był koszmar. A potem stała się nagle zimna jak lód. To było jeszcze gorsze. I powiedziała, że nie chce mnie więcej widzieć.

Liz milczała długą chwilę.

– Bardzo mi przykro, Matt, że sprawy tak się pogmatwały między tobą a Molly – odezwała się cicho. – Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Dlaczego mi o tym powiedziałaś?

– Bo ty jesteś w to zamieszana.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Ja?

– Molly uważa, że gdybyś nie wróciła do Tradition, na pewno bym się jej oświadczył. Jest pewna, że ją zostawiłem dla kogoś innego, dla ciebie.

Liz patrzyła na niego z rosnącym zdumieniem. Wstała.

– Ale przecież to nieprawda, Matt – starała się mówić spokojnie i stanowczo. – Nigdy nie zrobiłam nic, by was rozdzielić. Już ci mówiłam, że jesteś mi teraz zupełnie obojętny. Nie potrafisz jej tego wyjaśnić? Gdyby

uwierzyła, że między nami do niczego nie doszło, może zrozumiałaby swój błąd i nadal chciała się z tobą przyjaźnić?

– Ale nie mogę jej tego powiedzieć, Liz.

– Dlaczego nie?! – zawołała. – Przecież to prawda!

Matt pokręcił głową.

– To wcale nie jest prawda – odparł cicho. – My zawsze będziemy się kochać.

Nagle Liz poczuła, że robi jej się słabo, a do oczu napływają łzy.

– Matt, ile razy mam ci powtarzać, że...

Przerwał jej:

– Liz, mów sobie, co chcesz, ale twoje oczy nie kłamią.

Odwróciła głowę, by ukryć łzy. Matt objął ją i obrócił ku sobie.

– Liz – szepnął. – Och, Liz.

Gwałtownie przyciągnął ją do siebie i pocałował. Mocno i namiętnie. Nie miała siły z nim walczyć. Topniała w jego ramionach. Zaczęła oddawać pocałunki z równą namiętnością.

W końcu odsunęła się od niego, próbując złapać oddech. Jej oczy błyszczały, a policzki płonęły.

– Powiedz mi teraz, że mnie już nie pragniesz – odezwał się Matt chrapliwym głosem.

Postąpiła krok do tyłu i oparła się plecami o pień jabłonki.

– Nie mogę tego powiedzieć. Ale ja nie zawsze sięgam po to, czego pragnę.

– Nawet jeśli ktoś ci to podaje na tacy?

Powoli pokręciła głową.

– Mówiłam ci, Matt. Jestem sama, bo takiego dokonałam wyboru. Lepiej będzie, jeśli przestaniesz się łudzić, że znów możemy być razem. Nigdy do tego nie dopuszczę.

Zobaczył błysk determinacji w jej oczach. Wiedział, że nie ma sensu dyskutować na ten temat. Na razie. Jednak dziś zrobił wielki krok naprzód. Pocałował ją, a ona odwzajemniła jego pocałunek. Przyznała się też, że nadal go pragnie.

Zawsze podziwiał w Liz to, że potrafi czekać. Ale on również potrafił. Jeśli trzeba będzie, poczeka choćby wiek.

Miała rację w jednym – stosunki między nimi nigdy nie wrócą do poprzedniego stanu. Mogą jednak stać się lepsze. Teraz oboje byli starsi i wiedzieli już, że miłość wymaga pielęgnacji i troski.

Zamierza nad tym pracować. Spokojnie i powoli. Dzień po dniu.

– Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość – odezwał się w końcu. – Nie przepraszam natomiast za to, że cię pocałowałem! Wcale tego nie żałuję. – Po chwili dodał żartobliwie, chcąc rozładować napięcie, które nagie między nimi zapanowało: – Są pewne rzeczy, które facet musi zrobić, kiedy znajdzie się w towarzystwie niezłej babki w skąpym kostiumie kąpielowym.

Liz roześmiała się.

– Chodź! – Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę domu. – Jedziemy do Laurel House. Umieram z głodu!

Byli już w samochodzie, kiedy Liz nagle zapytała:

– Matt, pamiętasz, tamtego wieczoru, kiedy zabrałeś Molly na tańce i wróciłeś o czwartej... Czy...

Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

– Ale masz włochate myśli. Nic z tych rzeczy. Ian się rozchorował i chciał, żebym z nim został. Jeszcze jakieś wątpliwości?

Liz zmarszczyła nos i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Nie, tylko... Kiedyś znalazłam w pralni koronkowy stanik i pomyślałam...

Matt roześmiał się wesoło.

– Ależ pani wścibska, panno Rossiter! Żeby tak wtykać nos w nie swoje sprawy! Mama często przynosi swoje rzeczy i wrzuca do pralki razem z moim. Coś jeszcze?

Śmiali się przez chwilę. Nagle Liz spoważniała.

– Matt, co zrobisz z Molly? Spróbujesz z nią jeszcze porozmawiać?

Pokręcił głową.

– Molly czuje się teraz zdradzona, upokorzona i wściekła. Nie zechce mnie wysłuchać.

– A co z chłopcami? Nie będą za tobą tęsknić?

– W przyszłym tygodniu kończy się szkoła. Na pierwszy miesiąc wakacji Molly zawsze wyjeżdża z synkami do swojej matki do Vancouver. Może po powrocie nie będzie już tak wrogo do mnie nastawiona i uda nam się pogodzić?

Tydzień później Molly wyjechała do Vancouver. Nie skontaktowała się z nimi przed wyjazdem.

Naomi wiedziała o wszystkim od wspólnych znajomych. Zapewniła Liz, że Matt zawsze zachowywał się wobec Molly jak najlepszy przyjaciel i nic ponadto.

– Już najwyższy czas, by Molly stanęła na własnych nogach i podjęła pracę. Musi przestać polegać wyłącznie na innych. A ty, moja droga Liz, przestań zamartwiać się cudzymi sprawami, a zacznij zwracać większą uwagę na swoje. Pora przygotować się na przybycie pierworodnego! Mam rację?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnych kilka tygodni upłynęło w oka mgnieniu.

Liz poważnie potraktowała radę Naomi. Dbała o siebie, chodziła do lekarza, robiła badania. Odpoczywała po obiedzie, a wieczorem chodziła na spacer z Mattem.

Na te spacer cieszyła się zawsze najbardziej. Wkrótce stały się one głównym punktem dnia, jej największą przyjemnością.

Nie rozmawiali o sprawach przykrych – świadomie unikali tematu Laurel House i walki, która ich niechybnie czekała.

Pokłócili się tylko jeden raz, kiedy Liz odmówiła pójścia do szkoły rodzenia.

Matt podjął ten temat podczas spaceru w lesku nieopodal domu.

– Pierworódki powinny chodzić do takiej szkoły. Najlepiej z partnerem.

– Ja nie mam partnera.

Uniósł brew.

– Nie rozważyłabyś...

– Twojej kandydatury? O, nie! Miałabym leżeć z głową na twoich kolanach i słuchać, jak szepczesz do mnie słodkie słówka? Nigdy w życiu. – Jednak wbrew oburzeniu, które zabrzmiało w jej głosie, Liz uśmiechnęła się.

– Więc mogłabyś pójść sama. Jestem pewien, że inne kobiety często chodzą tam same.

Patrzyła na barwnego motyla, który po chwili zniknął za drzewami.

– Ja nie jestem taka jak inne kobiety, Matt. Nie lubię przynależeć do grupy. Cenię swoją niezależność.

– Ale nauczyłabyś się, jak trzeba się odprężyć.

– Już umiem. Sama się nauczyłam z książki o technikach relaksacyjnych i ćwiczę codziennie.

– Ale nauczyłaś się też, jak należy prawidłowo oddychać. I kiedy trzeba przeć...

– Przeć? Matt! Ty nie oddałeś tej książki, prawda? – Liz stanęła i spojrzała mu prosto w oczy.

– Hmm... Jest bardzo przydatna, a ja naprawdę chcę ci pomóc. Muszę. Przecież wiesz, dlaczego?

Liz westchnęła ciężko.

– Wiem.

Matt chciał odpokutować za swoje stare grzechy. Lecz nigdy mu się to nie uda. Szala nie przechyli się na jego korzyść, choćby starał się ze wszystkich sił.

– Nie odsuwaj się ode mnie – poprosił. Jego zielone oczy pociemniały.

Stali blisko siebie. Poprzez zapach mchu i paproci Liz wyczuwała delikatną woń męskiej wody toaletowej. Pragnęła z całych sił wciągnąć w nozdrza ten zmysłowy aromat, a potem...

– Liz?

Jakże ją kusił! Gdyby tak mogła zrzucić z siebie ten przygniatający ciężar! Podzielić się nękającym ją strachem, że i ta ciąża skończy się tragicznie... Jednak, gdyby to zrobiła, straciłaby więcej, niż mogłaby zyskać – utraciłaby swą wolność, zaczęłaby oczekiwać czyjegoś wsparcia. I mogłaby się zawieść.

– Liz? – ponaglił Matt.

– Muszę wziąć życie we własne ręce – powiedziała w końcu.

– Nie chcę ci tego odbierać. Pragnę tylko pomóc.

– Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, daj mi wolność wyboru.

Na tym skończyła się ich dyskusja. Matt już nigdy nie podjął tematu szkoły rodzenia.

Nadal jednak studiował pilnie swój podręcznik.

Jednak teraz już nie krył się z tym przed Liz. Znajdowała książkę w najmniej spodziewanych miejscach. W pralni, na parapecie w kuchni, nawet w garażu... Lecz najczęściej na stoliku w salonie – z coraz dalej przesuniętą zakładką. Kiedyś, wiedzona ciekawością, zajrzała do książki, tym razem leżącej na stole kuchennym. Zauważyła, że niektóre ustępy są podkreślone. Rozdział aktualnie czytany przez Matta nosił tytuł: „Urządzamy pokój dziecięcy”. Właśnie zabierała się do czytania, kiedy do kuchni wszedł Matt.

– Cześć! Widzę, że zainteresowała cię moja książka? To świetnie, bo właśnie zamierzałem coś z tobą przedyskutować.

– Co takiego?

– Wiem, że chcesz, żeby pokój dziecięcy był utrzymany w tonacji żółto-białej.

– Skąd wiesz?

– Pamiętasz, jak ostatnio robiliśmy zakupy? Podśluchałem twoją rozmowę z kasjerką – odparł Matt bez cienia zażenowania. – Chciałbym tylko wiedzieć, czy ściany mają być żółte, czy też białe i jakie wybrałaś zasłonki. A może dywan ma być...

– Dlaczego cię to interesuje?

– Postanowiłem przerobić pokój gościnny, który sąsiaduje z twoją sypialnią, na pokój dziecięcy.

Liz przyjrzała mu się bacznie.

– Czy to oznacza, że poddajesz się i nie będziesz ze mną walczył o Laurel House?

– O, nie! Ale niezależnie od tego, które z nas wygra, będziesz przez jakiś czas potrzebowała pokoju dziecięcego. Przecież wrócisz tutaj ze szpitala. A

więc, ściany mają być żółte czy białe? Umówiłem się z Naomi, że pomaluje pokój przy najbliższej okazji.

Liz zawahała się. Po chwili odparła:

– Planowałam, że ściany będą pastelowo żółte. Może do tego jeszcze szlaczek z postaciami z bajek Disneya. Jak myślisz?

– Co byś powiedziała na to łóżeczko, do którego przyczepiona była karuzela? Pamiętasz, oglądaliśmy je w sklepie. Mógłbym je jutro przywieźć z Crestville.

– O, nie. Nie zamierzam kupować niczego pochopnie. Muszę pochodzić spokojnie po sklepach i wybrać rzeczy, które najbardziej mi się spodobają. Łóżeczko, kocyki i pościel... To będzie wspaniała zabawa, i jaka przyjemność!

– Czy mogę zadać ci niedyskretne pytanie?

– Zadać możesz, ale nie wiem, czy odpowiem.

– Jaka jest twoja sytuacja finansowa? Bo...

– W Nowym Jorku świetnie zarabiałam. Dużo zaoszczędziłam. Na pewno poradzę sobie... Z przyjemnością wybiorę się powtórnie do Sagebrush Mall. Uwielbiam robić tam zakupy.

– Wybierzemy się razem.

– Matt, mężczyźni uwielbiają godzinami przyglądać się narzędziom i kosiarkom. Ubranka i wózki dziecięce was nie interesują. Jeśli pójdziesz ze mną, będę się podświadomie śpieszyć.

– A zatem i tym razem pójde do księgarni. Zresztą jeśli wykupisz pół sklepu, ktoś musi pomóc ci to wszystko dźwigać. – Wskazał na jej okrągły brzusek. – Jadę z tobą.

– Jesteś niezwykle uparty.

– A jakże! – Uśmiechnął się zawadiacko. – O której wyjeżdżamy?

Nazajutrz Liz ucięła sobie popołudniową drzemkę nieco wcześniej niż zwykle. Wyjechali do Crestville już o drugiej.

Udali się prosto do działu dziecięcego. Okazało się, że łóżeczko, które tak podobało się Mattowi, nie zostało jeszcze sprzedane. Liz porównała je z siedmioma innymi i wybrała w końcu to pierwsze, ku nieskrywanej radości Matta. Pogwizdując wesoło, poszedł od razu do sklepu z materiałami dekoracyjnymi i zakupił szlaczki ze wzorami z kreskówek Disneya. Liz stwierdziła, że Matt bawi się jeszcze lepiej niż ona. Umówili się za parę godzin, podczas których Liz kupiła kilka kompletów żółto-białej pościeli, kilka kocyków i żółty kombinezon. Czas minął niepostrzeżenie. Liz właśnie zapłaciła, kiedy podszedł Matt.

– Wiedziałem, że wykupisz cały sklep! odebrał od niej paczki. – Śmiejąc się, – Jak się czujesz?

– Szczerze mówiąc, padam z nóg.

– Zadowolona, że przyszedłem z tobą? – Mrugnął do niej figlarnie.

– Tak – odparła szczerze.

Wrócili do domu około siódmej trzydzieści.

Matt spojrzał uważnie na Liz. Wyglądała na zmęczoną, jej bluzka i spódnica nie prezentowały się już tak nieskazitelnie. Jednak, jak zawsze, była śliczna.

– Mam nadzieję, że się nie sforsowałaś? – spytał Matt troskliwie.

– Bolał mnie plecy, ale nie bardziej niż zwykle.

– Usiądź sobie na tarasie, zaraz przyniosę ci coś do picia.

Kiedy po chwili wrócił, Liz leżała na leżaku, z ramieniem pod głową i z zamkniętymi oczyma. Zrzuciła sandały i bosc stopy oparła na krzeselku obok. Jej włosy spływały jasnją kaskadą na oparcie leżaka. Już myślał, że zasnęła, kiedy nagle mruknęła i niecierpliwie poruszyła się, a potem westchnęła.

– Dobrze się czujesz? – spytał, stawiając szklanę lemoniady na stoliku obok.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego tak ciepło i słodko, że poczuł, jak fala miłości zalewa mu serce.

– Tu jest tak spokojnie i cicho. Aż wstydzę się swojego lenistwa. – Zmarszczyła nos. – Jedyna rzecz, która mi trochę dokucza, to prawa noga. Mam jakieś skurcze.

Uwielbiał, kiedy tak marszczyła nosek. Miał ochotę go pocałować. Zamiast tego jednak, przyklęknął obok, ujął jej stopę w dłonie i zaczął delikatnie masować.

– Rozluźnij mięśnie – powiedział cicho.

Masował jej małą, delikatną stopę przez kilka minut, usiłując skoncentrować się na swoim zadaniu i nie zwracać uwagi na kształtną łydkę i jedwabistą skórę.

– Dzięki, Matt – powiedziała, kiedy skończył i wstał. – To było cudowne. – Sięgnęła po lemoniadę.

– O, nie. Tego nie będziesz piła. – Wyjął jej szklanę z ręki. – Idę zamienić to na mleko. Jeśli dostajesz skurczów, to znaczy, że twojemu organizmowi brakuje wapnia!

Liz pokręciła głową.

– Zameczysz mnie tą swoją opiekuńczością!

– Właśnie to zamierzam zrobić. I nie spocznę, dopóki nie urodzisz zdrowego bobasa.

Poszedł do kuchni i kiedy nalewał mleko do szklanki, zdał sobie sprawę, że od kilku miesięcy, a właściwie to od kilku lat nie czuł się tak szczęśliwy.

Jedyna rzecz, która nie dawała mu spokoju, to brak wiadomości od Molly. Nie wróciła jeszcze z Vancouver ani nie odezwała się, choć nadchodził już

wrzesień, a z nim początek roku szkolnego. Brakowało mu jej przyjaźni. Jaka szkoda, że sprawy tak źle się ułożyły.

Właśnie w tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Liz wbiegła na bosaka do kuchni.

– Kto to może być o tej porze, w niedzielę? – zapytał Matt i poszedł otworzyć.

Na progu stała Molly.

– Molly! – Matt nie wierzył własnym oczom. Przecież właśnie w tej chwili o mej myślał! – Kiedy wróciłaś?

– Dziś po południu. Muszę z tobą porozmawiać. – Zerknęła ponad jego ramieniem i nerwowo uśmiechnęła się na widok Liz. – Liz, dobrze, że i ty tu jesteś. To, co chcę powiedzieć, dotyczy was obojga.

Matt przyglądał się jej z obawą.

– Molly, proszę, nie wciągaj w te sprawy Liz... W jej stanie...

– Nie zamierzam powiedzieć nic, co mogłoby ją zdenerwować. Obiecuję... – zająknęła się Molly. Po chwili kontynuowała: – Przyszłam, żeby was oboje przeprosić. – Wzięła głęboki oddech. – Zachowałam się jak skończona idiotka. Okazałam się wstętną egoistką – mówiła gwałtownie, jakby chciała to wszystko jak najszybciej z siebie wyrzucić. – Po śmierci Dave'a czułam się taka zagubiona i bezradna. Matt, byłeś dla mnie najlepszym przyjacielem, jakiego można sobie wymarzyć. Zawsze udzielałeś mi wsparcia. A ja, zamiast po jakimś czasie stanąć na własnych nogach, coraz bardziej się od ciebie uzależniałam. Na koniec zupełnie oszalałam i stworzyłam sobie iluzję, uwierzyłam w naszą wzajemną miłość, podczas gdy to, co naprawdę do ciebie czułam, to ogromna wdzięczność. Tyle dla mnie zrobiłeś. I dla moich synków. Dziękuję. – W oczach Molly pojawiły się łzy. Po chwili zwróciła się do Liz: –

Liz, ciebie też przepraszam. Byłam wobec ciebie niesprawiedliwa. To, co was łączy, nie powinno mnie obchodzić.

Liz spróbowała jej przerwać:

– Między nami nic...

– To bez znaczenia. Przyszłam was przeprosić i powiedzieć, że zrobiłam wreszcie to, co powinnam była zrobić rok temu. Znalazłam pracę w szpitalu w Vancouver. Postanowiłam się przenieść, by być bliżej mamy, która obiecała mi pomóc. – Uśmiechnęła się do Matta niepewnie, przez łzy.

– Molly! To cudowne wiadomości! Gratuluję! – Już miał ją objąć, ale się powstrzymał. – Mogę cię przytulić? – zapytał ze śmiechem.

– Oczywiście!

Matt objął ją, potem Molly przytuliła Liz, a na koniec we troje ze łzami w oczach zaczęli się ścisnąć.

– Mam nadzieję, że będziemy się nawzajem odwiedzać? – spytał Matt. – Przyjeżdżajcie tu z chłopcami na wakacje.

– Oczywiście, a wy przyjeżdżajcie do Vancouver – odwzajemniła zaproszenie Molly. – No, czas na mnie. Muszę się jeszcze spakować.

Matt i Liz odprowadzili ją do samochodu. Molly szepnęła do Matta:

– Jutro wyjaśnię wszystko Franny. – A widząc, że Matt zaczyna kręcić głową, dodała żartobliwie: – Muszę oczyścić twoją reputację, Matt. Trochę narozrabiałam.

Kiedy Molly odjechała, Matt zawołał z ulgą:

– Dzięki Bogu, że wszystko się wyjaśniło!

– Przez całe lato się tym martwiłeś, prawda? – spytała cicho Liz.

– Wyrzucałem sobie, że nie dotrzymałem słowa danego Dave'owi. Że swoją opieką przysporzyłem Molly więcej smutku niż radości.

– Nie obwiniaj się o to. – Liz z wyraźnym wysiłkiem stapała bosymi stopami po żwirze. – Molly czuła się opuszczona i bezradna. Łatwo jej było wyobrazić sobie, że jest w tobie zakochana.

Matt zachichotał:

– To prawda, co powiedziała Molly. Musiała całkiem oszaleć, żeby wyobrazić sobie, że jest we mnie zakochana. Jak można zakochać się w kimś z taką gębą?

– Tego nie wiem. Chociaż może ta gęba ma jakiś urok – powiedziała Liz od niechcienia. – Au!!! – jęknęła. W jej stopę wbił się kamień ostry jak nóż. – Powinnam byłam włożyć sandały.

– Ale skoro tego nie zrobiłaś... – Matt bez słowa ostrzeżenia chwycił ją i uniósł w powietrze.

– Matt! Puść mnie! Jestem ciężka jak kłoda.

– Ciężka? – Matt przewrócił oczami. – Ważysz mniej niż piórko. – Ruszył w stronę domu. – A więc uważasz, że ta poobijana gęba ma jakiś urok?

To, o czym myślała, nie miało nic wspólnego z urokiem. Za to wiele z seksem. Myślała o tym, jak bardzo był męski i jaka kobieta przy nim się czuła. I że jej wargi dzieli zaledwie parę centymetrów od jego szyi. A gdyby dotknęła jego brody, poczułaby pod palcami ten seksowny, jednodniowy zarost.

– Większość kobiet woli mężczyzn, którzy wyglądają jak mężczyźni – powiedziała lekkim tonem, starając się na niego nie patrzeć.

– Nie interesuje mnie, co woli większość kobiet – odparł, starając się przejść przez drzwi balkonowe tak, by nie zawadzić o framugę. – Chcę wiedzieć, co ty lubisz.

Stanął na środku kuchni i spojrzał na nią. Zobaczyła trzy srebrne plamki w tęczówce jego lewego oka i dwie w prawej. Policzyła je powoli, kiedy tak trzymał ją w objęciach.

– Możesz mnie już puścić – szepnęła.

Pocałował ją. Namiętnie, zaborczo, z desperacją. Nie udało jej się go powstrzymać, nawet gdyby próbowała. Potem powoli postawił ją na ziemi, lecz wciąż tulił do siebie tak mocno, jakby się bał, że mu ucieknie. Jednak ona objęła go za szyję ramionami i zaczęła całować.

Nagle Matt cofnął się raptownie. Jego oczy pociemniały, a policzki płonęły.

– Nie możemy tego zrobić – szepnął.

– Czego zrobić? – spytała nieprzytomnie.

– Kochać się. – Pogłaskał ją po włosach. – Nie zamierzałem posunąć się aż tak daleko. Musimy być bardzo ostrożni, ze względu na dziecko.

Liz powoli odzyskiwała spokój. Emocje opadły. Tak, Matt miał rację. Powinna uważać.

Powoli zaczęło ją ogarniać poczucie wstydu.

– Matt, to się już więcej nie powtórzy. Jestem zdumiona swoim zachowaniem. Nie rozumiem siebie samej. Można to przypisać wyłącznie hormonom. Wcale nie mam ochoty się z tobą kochać i w normalnych okolicznościach nigdy nie...

– Liz, przestań.

Zaskoczona bólem brzmącym w jego głosie, podniosła wzrok. Patrzył na nią z powagą.

– Nie lekceważ tego, co przed chwilą się stało. Możesz powtarzać do woli, że w ogóle cię nie interesuję, ale to będą tylko słowa. Nie oszukuj się. Powiedziałem już wcześniej, że nasza miłość nigdy nie umrze. Na razie nie będę się z tobą kochał. Na razie. Ale kiedy tylko dojdiesz do siebie, z pewnością znów zapukam do twoich drzwi. – Uśmiechnął się. – Masz to jak w banku.

Jak w banku?

W przeszłości nie mogła polegać na Matcie. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Minał wrzesień.

Molly z rodziną przeniosła się do Vancouver, po wspaniałym balu pożegnalnym wydanym na jej cześć przez Franny. Naomi spędzała coraz więcej czasu w Laurel House. Pomalowała pokój dziecięcy, a potem po prostu wpadała w odwiedziny do Liz.

Naomi pilnowała, by Liz zbytnio się nie przemęczała, popierała jednak jej eksperymenty kulinarne. W dodatku wpadała w zachwyt nad każdą przyrządzoną przez Liz potrawą.

– Jaki pyszny łosoś! W życiu takiego nie jadłam! Gdzie nauczyłaś się tak gotować? – zawołała, kiedy Liz po raz pierwszy zaprosiła ją na obiad.

– Melissa, przyjaciółka mojej mamy. skończyła szkołę gastronomiczną. Kiedy się do niej przeprowadziłam, nie umiałam ugotować nawet jajka na miękko. Melissa postanowiła coś z tym zrobić.

– Musiała być świetną nauczycielką! Och, to było pyszne, Naomi ma rację. – Matt rozparł się wygodnie w fotelu i pogłaskał się z zadowoleniem po brzuchu. – Trafiłabyś przez żołądek do serca każdego mężczyzny. Moje należy do ciebie.

– Nie myśl sobie, że zamydlisz mi oczy komplementami. Nie po tym, co wczoraj zrobiłeś!

Naomi nastawiła uszu.

– Co ty takiego zrobiłeś, Matt?

– Pokój dziecięcy wydawał mi się przerażająco pusty. Więc przywiozłem stół do przewijania i kojec, i...

– I „najsłodsze misia, jakiego kiedykolwiek widziałem"! – dokończyła za niego Liz, starając się zachować powagę. – Doskonale wiedziałeś, że

zamierzam to wszystko kupić, bo zakreśliłam te rzeczy w katalogu! Więc co zrobiłeś? Wykradłeś mój katalog i popędziłeś do sklepu!

– Jeszcze nigdy nie spotkałam ludzi, którzy by się tak często kłócili – skomentowała rozbawiona Naomi.

– Hej! – zawołał Matt z niewinną miną. – To nie moja wina. Chyba łatwo zgadniesz, kto wszczyna tutaj wszystkie awantury?

Ignorując go całkowicie, Liz pochyliła się stroną Naomi i szepnęła:

– Nie mogę się doczekać, kiedy on wreszcie pojedzie na tę swoją wycieczkę. Naprawdę strasznie zaczyna zrzędzić! Działa mi na nerwy!

– Jeszcze będziesz za mną tęskniła. – Matt wyszczerzył zęby.

– Akurat! – prychnęła. Ale w głębi duszy wiedziała, że zacznie tęsknić za Mattem, gdy tylko zamkną się za nim drzwi.

Matt wyruszał z kolegami na dwutygodniową wyprawę w Góry Jukonu.

Na dzień przed jego wyjazdem, Liz weszła do swojej sypialni. Zastała Matta pochylonego nad jej łóżkiem.

– Co robisz? – spytała zaskoczona.

– Podłożyłem deskę pod twój materac. W mojej książce wyczytałem...

– W twojej książce! – Liz załamała ręce. –I co ja mam z tobą zrobić?!

– Chyba czytasz wolniej ode mnie. Do którego rozdziału dobrnęłaś?

Roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. Czyż ten Matt nie był rozbrajająco uroczy?

Kiedy wrócił z wyprawy, Liz nie posiadała się ze szczęścia. I choć wyglądał jak dzikus, wcale nie miała ochoty wyrywać się z jego objęć.

Po długiej chwili odsunął się i spojrzał na nią uważnie.

Zmarszczył brwi.

– Co to za plamki na nosie? Aha... – Pomyślał chwilę i odetchnął z ulgą. – Rozdział siódmy, strona sto dziewięćdziesiąt dwa. „Plamki na twarzy. Znikną wkrótce po porodzie”.

– Nie mów, że zabrałeś na wyprawę książkę!

– Oczywiście! A co miałem zrobić? – Spojrzał na jej okrągły brzusek i udał zdumienie. – Hej! Zaczynasz wyglądać jak namiot cyrkowy!

Roześmiała się mimo woli i już miała powiedzieć coś równie złośliwego, kiedy Matt podał jej małe pudełko.

– Co to jest? – spytała z dziecięcą ciekawością.

– Otwórz, to zobaczysz.

W pudełeczku leżał maleńki kryształowy medalion, na delikatnym, złotym łańcuszku. Oczy Liz zaszyły mgłą.

– Zajrzyj do środka.

Liz otworzyła puzderko. Było pełne płatków złota.

– Szukaliśmy złota – powiedział Matt niby od niechcienia. – To, co znalazłem, kazałem oprawić. Dla ciebie. Podoba ci się?

– Och, Matt. To piękne! I naprawdę sam znalazłeś to złoto?

– Tak. Daj, założę ci na szyję.

Posłusznie się odwróciła i podniosła włosy. Jego dłonie delikatnie muskały jej kark. Och! Jak bardzo się za nim stęskniła! Jak pragnęła, by wziął ją w ramiona...

Matt starał się skoncentrować na maleńkim zapięciu. Wreszcie mu się udało. Zanim Liz zdążyła się obrócić, pocałował ją w kark.

– Tęskniłem za tobą – powiedział chrapliwym głosem, nie wypuszczając jej z objęć. – Myślałem o tym, żeby skrócić wyprawę, ale niestety pojechaliśmy moim samochodem. Nie mogłem tak zostawić moich przyjaciół w środku głuszy.

– Matt! – Nagle rozległ się głos Naomi. – Nie słyszałam, kiedy wróciłeś!
Witaj, synu! Nareszcie!

Liz poczuła ukłucie rozczarowania. Chciała zostać w ramionach Matta na zawsze.

Niepokojąco przyzwyczaiła się do jego codziennej obecności i troski. Zaczęła się wręcz od niego uzależniać!

A przecież nie wolno jej do tego dopuścić. Nie chce już nigdy na nikim polegać. Tylko na sobie.

Już tyle razy się zawiodła: opuściła ją matka, która przedwcześnie zmarła, potem kolejno: Matt, ojciec, a na koniec Colin.

Już nigdy nikomu więcej nie zaufa. Nigdy nikogo nie poprosi o pomoc. Nigdy!

– Matt! Podejdź do okna! – zawołała Franny.

Matt wyszedł z gabinetu i podszedł do okna w holu. Za oknem było białe. Wielkie płatki śniegu krążyły powoli i okrywały świat pierzynką.

– No, tak. Przecież już listopad.

– Trochę za wcześnie na taką zamieć. Chyba będę musiała wyjść niedługo z biura, żeby bezpiecznie dojechać do domu? – Franny uśmiechnęła się prosząco do Matta.

– Przecież mieszkasz dwie przecznice stąd. – Matt trochę nieobecny wzrokiem spojrzął na zegarek. – Nie widziałaś jeszcze Liz? – Po raz kolejny w ciągu paru minut zerknął na wejście do kliniki po drugiej stronie ulicy. – Co ona tak długo tam robi?

– Może czeka w kolejce?

– Tak czy siak, nie powinna prowadzić przy takiej pogodzie. Odbiorę ją z kliniki i zawiozę do domu. Zostaniesz na straży?

– Jasne – Franny uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Matt pośpieszył do kliniki.

W poczekalni czekały dwie pacjentki. Matt już miał zapytać, czy pani Rossiter wyszła, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się i na progu stanęła Liz. Miała oszołomiony wyraz twarzy. Kiedy zobaczyła Matta, zamrugła oczami i uśmiechnęła się.

– Liz, coś się stało? – spytał zatroskany.

– Nie, Matt. Wszystko w porządku.

– Postanowiłem cię odwiedzić, drogi są śliskie.

Ku jego zdziwieniu, nie oponowała, tylko posłusznie skinęła głową.

Kiedy wsiedli do samochodu, Matt zauważył, że Liz wciąż wygląda na oszołomioną.

– Liz? Co się stało?

– Matt, wyjaśnię ci wszystko w domu.

Jego niepokój wzrastał z każdą minutą. Co takiego powiedział jej doktor Black?!

– Matt, to bliźniaki. – Liz wciąż kręciła głową z niedowierzaniem. – Doktor Black usłyszał dzisiaj dwa pulsy.

– Oparła się ciężko o oparcie fotela i położyła ręce na swoim wystającym brzuchu. – Noszę tam bliźniaki!

Matt patrzył na nią w osłupieniu.

– O rany! – jęknął. – Czy doktor jest pewien?

– Całkowicie.

– Nic dziwnego, że stałaś się taka potężna! – Wyszczrzył zęby. – I że kołyszysz się przy każdym kroku jak kaczka!

Liz rzuciła mu oburzone spojrzenie.

– Jak kaczką?! Ty oszuście! Od tygodni wmawiasz mi, że pięknieję z dnia na dzień!

– Bo to prawda. Ale musisz przyznać, że ostatnio...

– Matt nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– ... że ostatnio wyglądam jak ciężarówka? – Zmarszczyła nos. – Może to już niedługo potrwa. Lekarz powiedział dzisiaj, że w tej sytuacji poród prawdopodobnie nastąpi wcześniej. Już zawiadomił szpital, by przygotowali dla mnie łóżko.

– Tylko dlaczego doktor nie odkrył tego wcześniej – zastanawiał się Matt.

– Czasami zdarza się, że pulsy się synchronizują. Wtedy słyhać tylko jedno bicie serca. A u mnie nie było potrzeby przeprowadzenia dodatkowego badania USG. Zapomniałam wspomnieć Blackowi, że w rodzinie Colina zdarzały się bliźniaki.

– I jak się teraz z tym czujesz? – spytał Matt.

– Jeszcze to do mnie nie dotarło. Ale oczywiście, cieszę się bardzo.

– Nie martwisz się, prawda?

– Jestem w dobrych rękach – odparła z udanym przekonaniem.

Matt zauważył w jej głosie nutę wahania i błysk niepokoju w oczach. Chciał wziąć ją za rękę i powiedzieć: „Nie martw się. Najdroższa, jestem przy tobie”. Wiedział jednak, że na nic by się to nie zdało. Liz wolałaby boso wyruszyć w świat, niż poprosić go o pomoc.

Więc zamilkł.

Śnieg padał całą noc, a rano chwycił mróz. Świat błyszczał olśniewającą bielą w bladych promieniach zimowego słońca.

Dla Liz czas jakby zwolnił swój bieg. Nie mogła wychodzić na dwór, więc wędrowała po pokojach, a jej kroki stawały się coraz cięższe. Doskwierało jej wiele dolegliwości: prawie nie wychodziła z łazienki i bolały ją plecy.

Matt wieczorami mościł jej wygodne posłanie.

– Rozdział dziesiąty, strona dwieście dwanaście! – wołał wesoło.

Miała również zgagę.

– Rozdział jedenasty – mówił i podawał jej szklanekę zimnego mleka.

Nie skarżyła się, lecz doskwierał jej uciążliwy ból w nogach. Któregoś dnia Matt postawił przed nią stołeczek i obwieścił pogodnie:

– Tym razem rozdział dwunasty. Strona dwieście trzydzieści cztery.

Oczywiście bez przerwy zmuszał ją do słuchania muzyki klasycznej.

– Dzieci słyszą muzykę. To je uspokaja.

Niestety muzyka chyba ich nie usypiała. Liz najwyraźniej nosiła w brzuchu przyszłych zapaśników sumo. Matt śmiał się, widząc, jak wierzgają w brzuchu mamy – małe piąstki i stopki bez trudu poruszały bluzkę na brzuchu Liz.

Ona też się śmiała, lecz częściej zbierało jej się na płacz. I nie mogła przestać się martwić.

Pierwszego grudnia pogoda nagle zmieniła się – zrobiło się ciepło, śnieg stopniał, drogi stały się przejezdne.

Po lunchu Liz spała dłużej niż zwykle, czuła się jednak stale wyczerpana i ociężała.

Wieczorem znów się oziębilo. Wiał nieprzyjemny, trochę porywisty wiatr.

Zasiedli przed kominkiem. Matt, zatopiony we własnych myślach, patrzył w ogień. Nagle skrzywił się i dotknął zebra.

– Co się stało, Matt? Coś cię boli? – zapytała Liz z niepokojem.

Matt unikał jej wzroku.

– To nic takiego. Stare rany.

– Z dawnych czasów? – pytała. Matt nigdy nie powiedział jej, z kim się o nią bił.

Tylko skinał głową.

– Matt? Dlaczego nie chcesz mi zdradzić, co...

Gwałtownie zerwał się z fotela.

– Są rzeczy, których wolę nie pamiętać. Rozumiesz? – Jego głos brzmiał surowo, wręcz wrogo. Starał się na nią nie patrzeć. Gdyby to zrobił, zobaczyłby w jej oczach łzy. – Muszę się przejść. Wrócę za godzinę.

Spuściła wzrok i bez słowa skinęła głową.

Wiedziała, że nie chciał jej urazić, lecz mimo wszystko zrobiło jej się ciężko na duszy. Wstała i powolnym, niezdarnym krokiem ruszyła do kuchni. Zostawiła dla Matta karteczkę:

Przepraszam, że sprawiłam ci przykrość.

Weszła na górę. Brzuch jej dzisiaj ciążył bardziej niż zwykle, jakby bliźniaki miały z niej wyskoczyć lada moment. To chyba tylko złudzenie?

Wzięła gorącą kąpiel i skonana położyła się do łóżka. Zasnęła natychmiast i po raz pierwszy od wielu tygodni nie męczyły jej żadne niespokojne sny.

Obudziła się dziesięć po trzeciej. Nie musiała iść do łazienki, więc co takiego ją zbudziło? Nagle poczuła skurcz. Jeden, zaraz potem drugi. I już wiedziała, co się dzieje – zaczęła rodzić!

Starając się pokonać panikę, która zrazu ją ogarnęła, leżała chwilę nieruchomo, a kiedy kolejny skurcz minął, usiadła na łóżku. Zaczęła oddychać powoli i miarowo, choć strach wciąż ścisnął ją za gardło. Myśl o dzieciach, nakazywała sobie.

A więc dzieci postanowiły urodzić się dzisiaj, na długo przed terminem. Doktor ostrzegał ją, że tak właśnie może być, i że poród będzie gwałtowny i krótki!

Musi się pośpieszyć – do dzieła!

Od Laurel House do szpitala dzieliło ją zaledwie pięć kilometrów. Powinna tam dotrzeć za piętnaście minut, nawet jeśli będzie prowadzić bardzo powoli i ostrożnie.

Ubrała się czym prędzej, narzuciła puchową kurtkę, chwyciła małą walizeczkę z przygotowanymi wcześniej rzeczami i bezszelestnie zeszła na dół.

Noc była mroźna, lecz na szczęście nie padało.

Włączyła silnik i wyjechała z podjazdu. Nagle przepełniło ją uczucie niewypowiedzianej satysfakcji. Oto sama wybrnęła z tarapatów, nie wpadła w panikę! Nie potrzebuje więc nikogo i niczego. A z pewnością da sobie radę bez mężczyzn. Bez Colina, bez Matta! Niezależność! – to jest to!

Była w połowie drogi, kiedy zaczęło padać. Najpierw wyglądało to zupełnie niegroźnie, zwykła mżawka. Włączyła wycieraczki. Jednak po chwili zdała sobie sprawę, że przestaje cokolwiek widzieć.

Wtem doznała olśnienia, to nie był zwykły deszcz, lecz woda zamieniająca się w powietrzu w lód!

Serce waliło jej jak oszalałe. Jechała na oślep! Gwałtownie nacisnęła na hamulec. Samochód wpadł w poślizg. W tym momencie chwycił ją przejmujący ból w krzyżu.

Skuliła się. Jej krzyk odbił się echem po okolicy. Poczowała, że zjeżdża z drogi i z hukiem i zgrzytem zatrzymuje się w rowie. Na ogromnym, przydrożnym drzewie. Zacisnęła zęby, mocno, aż do bólu. Przez głowę przemykało mnóstwo myśli – jedna gorsza od drugiej. Boże, nie pozwól mi zemdleć, modliła się gorączkowo. Czy jest szansa, by nadeszła jakakolwiek pomoc?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Matt nie usłyszałby otwierających się drzwi pokoju Liz, gdyby nie to, że nie mógł zasnąć. Gnębiło go okropne poczucie winy. Wiedział, że swoim wybuchem sprawił jej przykrość i męczyło go to, że będzie musiał poczekać aż do rana, by ją przeprosić.

Kiedy minęło dziesięć minut, a Liz wciąż nie wracała, wyszedł z sypialni. Łazienka była pusta. Pokój Liz też. Wciąż spokojny, pomyślał, że pewnie zeszła do kuchni, by napić się mleka. Na stole znalazł kartkę:

Pojechałam do szpitala. Dzieci śpieszą się do przyjścia na świat.

Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w kartkę chyba minutę, zanim pojął jej treść. Liz zaczęła rodzić! I w bólach porodowych sama wsiadła do samochodu i pojechała do szpitala?! Wiedział, że ceniła swoją niezależność, ale żeby aż do tego stopnia? To absurd!

I nie tylko absurd. W ten sposób pokazała mu, że nigdy, przenigdy nie poprosi go o pomoc. Nawet w najbardziej dramatycznej sytuacji, nawet gdyby miała narazić na niebezpieczeństwo coś, co najbardziej ceniła w życiu – swoje dzieci! Ból i głębokie rozczarowanie ścisnęły go za serce. Powinien spojrzeć prawdzie w oczy i nareszcie pogodzić się z faktami.

Lecz nie potrafił! O, nie! Spróbuje jeszcze raz.

Jeszcze nigdy nie ubrał się w takim tempie. Wybiegł z domu i omal nie wylądował na plecach! Świat zamienił się w wielkie lodowisko!

Włączył wycieraczki. Marznący deszcz! Poczuł, że paraliżuje go strach. Czy Liz zdążyła dotrzeć do szpitala? Czy szczęśliwie dojechała na czas?

Spryskał szyby płynem do odmrażania szyb i z najwyższą ostrożnością wyjechał na drogę.

Przejechał zaledwie dwa kilometry, gdy usłyszał z oddali dźwięk klaksonu. Ktoś desperacko trąbił, chyba wzywając pomocy?

Starając się nie przyśpieszać, podążył w tamtą stronę. Wtem dźwięk ustał, tak nagle, jak się pojawił. Rozglądając się bacznie wkoło i modląc się na głos, by to nie Liz była w niebezpieczeństwie, Matt zacisnął dłonie na kierownicy.

Kiedy pokonał zakręt, jego oczom ukazał się widok, jakiego obawiał się najbardziej. W rowie przy drodze, wsparty o drzewo, stał roztrzaskany samochód, ze światłami wymierzonymi w niebo. Nawet z daleka Matt był pewien, że to błękitne porsche.

Liz próbowała przetrwać kolejną falę bólu. Przychodziły jedna po drugiej, z coraz większą częstotliwością. Liz była coraz bardziej wyczerpana, z trudem oddychała. Panika chwyciła ją za gardło. Nagle wszystko w niej zamarło. Próbowwała wyczuć ruchy dzieci w brzuchu – dobrze znane uderzenia stópek i łokci. Nic. Cisza.

Nawet gdyby udało jej się otworzyć drzwi samochodu i jakoś się z niego wydostać, nie zdoła zrobić nawet dwóch kroków na oblodzonej jezdni. Nigdy nie dotrze do szpitala!

Jedyną jej nadzieją mogło być to, że ktoś usłyszy klakson. Ktoś, kto jakimś cudem będzie o tej porze tędy przejeżdżał.

Przycisnęła dłoń do klaksonu. Kolejna fala potwornego bólu oślepiła ją. Jeszcze nigdy nie czuła czegoś podobnego. Boże, pomóż mi! Ocal moje dzieci! – zaczęła się na głos modlić.

Wtem ktoś gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. Z trudem odwróciła głowę w stronę oślepiającego światła latarki.

– Pomocy, błagam... – jęknęła.

– Liz, najdroższa, jestem przy tobie. – Głos Matta brzmiał stanowczo, lecz aż drżał z emocji.

Dla Liz był to najśłodszy dźwięk na świecie.

– Poczekaj, zaraz dotrzemy do szpitala. Wszystko będzie dobrze, kochanie, obiecuję.

Tak też się stało.

Kiedy już było po wszystkim, Matt mówił, że anioł stróż musiał nad nimi czuwać. Nie pamiętał dosłownie nic z jazdy do szpitala. Pamiętał tylko tyle, że kiedy zobaczył nareszcie światła, Liz była już na skraju wytrzymałości.

Gdy dwaj pielęgniarze posadzili ją na wózku, jedyne, co mu pozostało, to czekać i modlić się.

– Wspaniale się spisałaś, Liz. – Doktor Black aż promieniał. – Twoje bliźniaki są śliczne.

– Są piękne, prawda? I zupełnie zdrowe? – po raz kolejny pytała Liz niespokojnie.

Roześmiał się.

– Ile razy jeszcze usłyszę to pytanie? Oczywiście! Są zdrowe jak ryby.

Liz czuła się tak, jakby przejechał przez nią walec. Poród to była najcięższa rzecz, jakiej kiedykolwiek dokonała. Jednak rozpierała ją nieznana dotąd duma i radość, a także poczucie szczęścia.

Lekarz ziewnął szeroko.

– Przepraszam, że wyciągnęłam pana z łóżka w środku nocy – powiedziała.

– Nie ma za co. Porody to najprzyjemniejsza część mojej pracy. Chyba jednak pójdę do domu trochę odpocząć. Aha, za drzwiami czeka pewien młody mężczyzna.

– Matt? Jeszcze tu jest?

– Oczywiście. Nie może się napatrzeć na te dwa maleństwa. Gdybyście mi nie powiedzieli, nigdy bym nie uwierzył, że nie jest ich tatą!

Liz poczuła dziwny ucisk w sercu, kiedy wyobraziła sobie Matta patrzącego na bliźniaki.

– On uratował mnie i dzieci.

– Może mu to pani sama powiedzieć. Wpuszczę go tu, ale na bardzo krótko. Musi pani dużo odpoczywać.

Lekarz wyszedł. W drzwiach stanął Matt.

– Cześć – szepnął z wahaniem.

Koszulkę włożył na lewą stronę, włosy miał potargane, był nieogolony.

– Matt, cześć.

Podszedł do łóżka i usiadł obok. Jego oczy miały wyraz nieznaną jej dotąd powagi. A jednocześnie czułości i zdumienia.

– Widziałeś dzieci? – spytała cicho.

– Tak. – Wyszczrzył zęby. – Chłopiec i dziewczynka.

– Nie musiałeś tu zostawać, Matt. Mogłeś wrócić do domu.

– A gdzie indziej miałbym być, jak nie przy was. Liz? – Ujął jej dłoń w swoją. – Mieszkaliśmy razem przez te wszystkie miesiące. Patrzyłem, jak dzieci w tobie rosły. Czuję się z nimi związany. Jakbym był ich ojcem. Są piękne, Liz. Takie malutkie. Nigdy nie widziałem takich malutkich dzieci. – W oczach stanęły mu łzy. – Nawet nie potrafię o nich spokojnie mówić.

Liz też się wzruszyła.

– Matt, jak ja ci się odwdzięczę za to, co dla mnie zrobiłeś? Skąd wiedziałeś, że wyszłam z domu? Myślałam, że sama sobie poradzę.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem równie upartej kobiety!

– Popeliłam błąd, Matt. Przez tę swoją głupią niezależność naraziłam na niebezpieczeństwo życie moich maleństw. Nie chciałam prosić cię o pomoc, a na koniec musiałam o nią błagać. A ty, zamiast powiedzieć „a nie mówiłem”, byłeś taki kochany! – Głos odmówił jej posłuszeństwa. Wiedziała jednak, że

musi dokończyć. Wzięła się w garść. – Wstyd mi. Od kiedy wróciłam do domu, zachowywałam się skandalicznie! Czy kiedyś mi to wybaczysz? Wiem, że to nie będzie łatwe, ale...

– Kocham cię, Liz. – Zrozumiała, że nawet jej nie słuchał. – Nigdy nie kochałem i nie pokocham innej kobiety. Jestem całkowicie monogamiczny, Liz, i tak już pozostanie. Gdybyś nie była taka wyczerpana, padłbym teraz przed tobą na kolana i błagał cię, byś została moją żoną. Ale lekarz dał mi tylko minutę. Więc zostawię cię chwilowo w spokoju. Ale wrócę po południu. Proszę, zastanów się, będę czekał na odpowiedź.

I z uśmiechem, któremu nigdy nie potrafiła się oprzeć, wyszedł.

– Ma pani gościa – powiedziała pielęgniarka, poprawiając poduszkę Liz. – Naomi Garvock. Patrzyła na dzieci chyba z godzinę.

Liz poczuła ulgę, że to jeszcze nie Matt. Wciąż nie wiedziała, jakiej mu udzielić odpowiedzi. Nie chodziło o to, że nie była pewna ich wzajemnej miłości. Kochała go całym sercem, a przez swój uczynek wczorajszej nocy, Matt całkowicie odpokutował w jej oczach za to, że porzucił ją trzynaście lat temu. Jednak tamto cierpienie wciąż w niej tkwiło. Co będzie, jeśli któregoś dnia pokłóćą się – w małżeństwie to przecież nieuniknione – i ona znów ciśnie mu w twarz stare zarzuty?

– Nie widziałam pani Garvock od lat – mówiła pielęgniarka, wkładając Liz termometr do ust. – Od kiedy, chyba kilkanaście lat temu, przyjęto do szpitala jej syna. Był tak pobity, że baliśmy się o jego życie. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. Ten, kto go pobił, powinien do dzisiaj siedzieć w więzieniu! Niestety chłopak nie chciał na ten temat rozmawiać.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Naomi. Trzymała ogromny bukiet frezji.

– Można?

Pielęgniarka zaprosiła ją do środka. Naomi podeszła do Liz z promiennym uśmiechem i ucałowała ją czule.

– Kochanie! Tak się cieszę! Gratulacje! Dzieciątka są śliczne. Matt zadzwonił do mnie rano i opowiedział mi całą historię. Kazał mi powiedzieć, że będzie wieczorem. Miał coś do załatwienia w Crestville – mówiła Naomi uszczęśliwiona.

Pielęgniarka wyjęła z ust Liz termometr.

– Właśnie opowiadałam pani Rossiter o pani synu i o tej bójkę przed laty. Nigdy nie odkryto sprawcy, prawda?

– Nie – odparła Naomi stanowczo, ucinając wszelką dyskusję.

Pielęgniarka zakłopotana się nieco i wyszła.

– Co za plotkara! – Naomi westchnęła. – Uważaj, co przy niej mówisz, bo wkrótce całe miasto będzie o tym opowiadać. – Podeszła do okna i zaczęła układać kwiaty w wazonie. – Matt nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się, że to twój ojciec. Ludzie mogliby się domyślić, że chodzi o ciebie. Nikt nie wiedział o twojej ciąży.

– Mój ojciec?! – zawołała Liz z niedowierzaniem. – Pobił go mój ojciec?

– Ojej, nie wiedziałaś o tym? – Naomi pobladła. – Myślałam, że skoro tak bardzo zbliżyliście się do siebie z Mattem... Jak to, nigdy nie pytałaś go...

– Pytałam, ale nie chciał mi powiedzieć. – Liz była wstrząśnięta. Z trudem docierało do niej to, co usłyszała. Z wysiłkiem uniosła się na posłaniu i szepnęła błagalnie: – Naomi, proszę cię, powiedz mi, co się wtedy stało. Muszę wiedzieć! Chodzi o mojego ojca. Jak on mógł dopuścić się tak strasznego czynu? Pewnie dowiedział się, że to Matt jest ojcem dziecka. Ale przecież Matt jednym ruchem mógł go znokautować!

– Matt nie walczył.

Liz otworzyła szeroko oczy.

– Jak to?

– Twój ojciec domyślił się, że to z Mattem jesteś w ciąży, kiedy doszły go słuchy, że Matt rozpytuje o ciebie w całym mieście. – Naomi mówiła z wahaniem. Zagryzła wargę. – Chyba powinnaś o tym wszystkim wiedzieć. Choć Matt byłby wściekły, gdyby mnie teraz słyszał.

– Matt się o tym nie dowie – zapewniła ją Liz.

– A więc... Któregoś dnia twój ojciec pojawił się u nas. Zaczął walić w drzwi. Wyjrzelśmy przez okno i kiedy Matt go rozpoznał, powiedział, że musi wyjść na chwilę, załatwić pewną sprawę. Pamiętam, że chwycił mnie za ramiona i takim strasznym głosem kazał mi obiecać, że cokolwiek się stanie, mam zostać w domu i w ogóle nie wychodzić. Poprosił, bym poszła na górę. Potem okazało się, że w ogóle nie walczył. Jakby złożył się w ofierze. Ja nawet nie miałam pojęcia, co się dzieje. I głupia, wyszłam, dopiero kiedy zobaczyłam, że twój ojciec już odchodzi. Znalazłam Matta pod domem, na wpół nieżywego. Wiesz, jaki brutalny potrafił być twój ojciec.

Liz zdała sobie sprawę, że płacze, dopiero kiedy na ustach poczuła słony smak łez.

– Przecież Matt mógł załatwić go jednym ciosem.

– Chciał odpokutować za swój grzech, Liz.

Matt jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak zdenerwowany i niepewny siebie.

Szedł korytarzem ku oddziałowi położniczemu, mocno ściskając w rękę pęk żółtych róż.

Chciał kupić czerwone – w kolorze miłości – wiedział jednak, że Liz uwielbia żółty.

Jak i to, że ulubionym kamieniem szlachetnym Liz jest ametyst. Kupił więc delikatny pierścionek – z maleńkim ametystowym oczkiem w platynowej oprawie.

Teraz jedyne, co mu pozostało, to spróbować ją przekonać, by go przyjęła. Ulgę przyniosła mu myśl, że przynajmniej będą sami – Liz leżała w pokoju jednoosobowym. Jednak kiedy wszedł do pokoju, okazało się, że będzie miał świadków – oto w ramionach rozpromienionej nowej mamy leżały dwa śliczne bobasy.

– Gdzie mam położyć kwiaty? – Postanowił zacząć od rzeczy praktycznych.

– Na parapecie znajdziesz wazon. Dziękuję, Matt. Są przepiękne.

Rzeczywiście wyglądały pięknie obok złotych astrów.

– Chodź, przywitaj się z tymi dwoma aniołkami.

Spały jak susły. Właściwie niewiele mógł zobaczyć, poza czerwonymi noskami i kosmykami jaśniutkich włosów, wystającymi spod czapeczek. Matt popatrzył na nie z czułością.

Po chwili spojrział uważnie na Liz.

– A ty, jak się czujesz?

– Och, Matt, jaka to ulga! Wszystko się udało! Teraz czuję się cudownie.

– Już postanowiłaś, jakie dostaną imiona?

Liz spojrzała na niego rozmarzonym wzrokiem.

– Dziewczynka będzie miała na imię Naomi Jane. Moja mama miała na imię Jane. I bardzo przywiązałam się do twojej mamy.

– To będzie dla niej zaszczyt – wybąkał Matt wzruszony. – A chłopiec? Jakie mu dasz imię?

– Z tym miałam pewien problem. – Liz zmarszczyła nos. – Widzisz, chciałabym nadać mu imię mężczyzny, który będzie mi pomagał je wychowywać, tylko chyba muszę go najpierw zapytać o zdanie.

Matt zamrugał. Mężczyzna, który będzie jej pomagał wychowywać dzieci? Przecież Liz, ta nowa, niezależna Liz, która niedawno wróciła z Nowego Jorku, zdążyła go już przekonać, że sama zamierza wychowywać swoje dzieci.

Chyba że...

Zapytał drżącym głosem:

– Liz? Skontaktowałaś się z tym facetem z Nowego Jorku?

Popatrzyła na niego z politowaniem i cichym głosem zwróciła się do bobasów śpiących w jej objęciach:

– Czy jesteście pewne, że chcecie tego idiotę za swojego tatusia? Ja też muszę się jeszcze zastanowić. Czy głupi mąż...

– Liz?! – Matt wstał, chwycił ją za rękę i zaczął ścisnąć bez opamiętania.

– Czy mówisz o mnie? Czy to znaczy, że się zgadzasz?!

Liz przytaknęła z cichym uśmiechem. Jej oczy lśniły. Kiedy Matt odzyskał mowę, zawołał:

– Kobieto! Mogłaś chociaż zaczekać, aż cię poproszę o rękę. – Uklęknął i szeptem powiedział: – Liz, moja najdroższa, najukochańsza Liz. Kocham cię do szaleństwa. Powiedz, czy wyjdiesz za mnie?

– Moja odpowiedź jest dokładnie taka sama jak minutę temu – odparła Liz i roześmiała się.

Zaczął ją całować, a Liz namiętnie oddawała mu pocałunki.

Potem wyjął pierścionek i włożył go na jej palec.

– Matt! – Oczy Liz zasły mgłą. – Jaki piękny!

Po chwili upojnych spojrzeń i miłosnych wyznań, Matt odezwał się:

– Liz, jeśli chodzi o Laurel House...

Uciszyła go jednym spojrzeniem. Nie musieli już o tym dyskutować. Przecież dom będzie należał do nich obojga.

– Matt, muszę cię tylko o coś zapytać. Dlaczego kupiłeś Laurel House? Nie chodziło ci tylko o piękne położenie i bliskość miasta, prawda?

– Tak, nie chciałem się sam przed sobą do tego przyznać, ale... – Uśmiechnął się do niej czule. – Marzyłem, że może któregoś dnia wrócisz do domu, wybaczysz mi wszystko i znów będziemy razem.

Ujęła jego twarz w dłonie i delikatnie pocałowała złamany nos, spłaszczony policzek, rozciętą blizną wargę.

– Twoja mama powiedziała mi, skąd wzięły się twoje rany, Matt. Tak mi przykro.

Matt zeszywniał. Po chwili jednak odetchnął głęboko i rozluźnił się. Co w tym złego, że Liz o wszystkim się dowiedziała? On nie chce, by dzieliły ich jakiegokolwiek tajemnice. Nigdy więcej!

– Niech ci nie będzie przykro, najdroższa. Już wszystko złe za nami. To przeszłość. A naszą przyszłość trzymasz w ramionach.

Bliźniaki jakby wyczuły, że o nich mowa, poruszyły się i otworzyły oczka.

– Matt! Popatrz, one się śmieją! – zawołała Liz z zachwytem.

– Nie, to tylko złudzenie.

– Naprawdę? Skąd wiesz? – zdziwiła się Liz. Matt uniósł jej dłoń do ust i ucałował.

– Rozdział pierwszy, strona siedemnasta, „Podręcznik dla rodziców bliźniąt” – odparł dumnie.